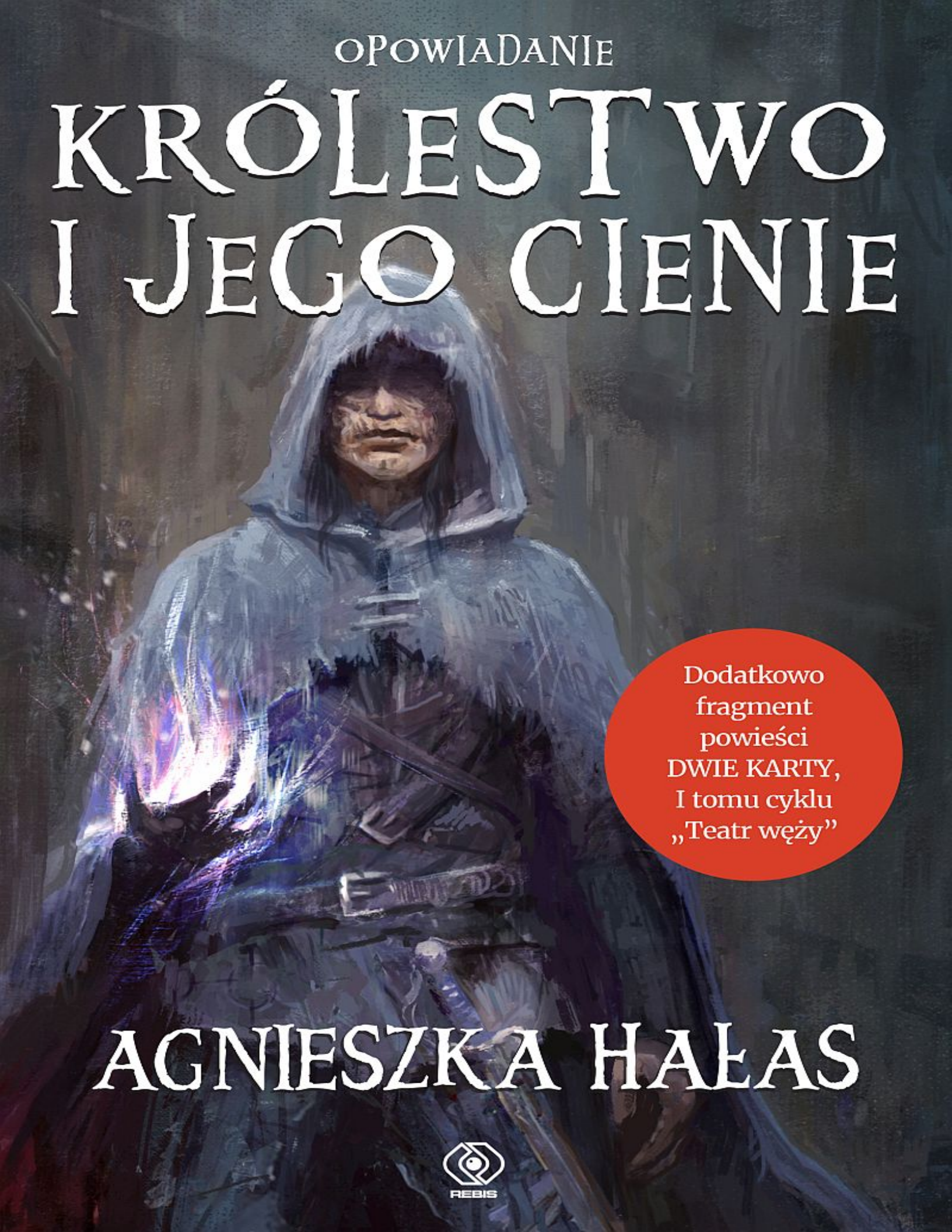
OPOWIADANIE
KRÓLESTWO I JEGO CIENIE
Dodatkowo fragment powieści DWIE KARTY, I tomu cyklu „Teatr węży”
AGNIESZKA HAŁAS
REBIS

Agnieszka Hałas

Opowiadanie KRÓLESTWO I JEGO CIENIE

Dodatkowo fragment powieści DWIE KARTY, I tomu cyklu "Teatr węży"

Dom Wydawniczy REBIS

Spis treści

Królestwo i jego cienie

Dwie karty. Fragment

Cykl TEATR WĘŻY

Wstęp

Prolog

1. Królowa cierni

2. Niedobry wiatr

3. Familia

O cyklu Teatr węży

Królestwo i jego cienie

Nazywam się Kahlia. Księżniczka Kahlia z rodu Tal-Abri. Jeszcze nie zapomniałam swojego imienia, choć maligna mąci mi myśli i chwilami nie odróżniam jawy od snu.

Kiedy nie śpię ani nie majaczę, przypominam sobie różne rzeczy, bo to pomaga odwrócić uwagę od tępego, paskudnego bólu w kościach i stawach. Pamiętam śmierć mego ojca, koronację Agostisa i obrzęd podziemnej rzeki. Pamiętam wirydarz, gdzie kwitły róże i lawenda, i pamiętam, jak mój brat oznajmił, że jesteś zdrajcą, Luce.

Kiedy gorączka rośnie, kasetonowy sufit przesłania mgła i nade mną otwiera się niebo z konstelacjami, których gwiazdy to zarazem oczy wielogłowej bestii. Bestia ryczy bezgłośnie, a świat chwieje się w posadach. Zaciskam zęby i kurczowo chwytam poduszkę, pewna, że moje ciało za chwilę rozpadnie się w srebrzysty pył.

Doktor Straboni przychodzi co rano, okutany w skórzaną pelerynę, w rękawicach i porcelanowej masce z długim dziobem. Nie dotyka mnie, tylko laską odsuwa na bok przykrycie i pyta, czy pamiętam, jak się nazywam. Nie zawsze odpowiadam – bywa, że słyszę i rozumiem jego słowa, ale moje usta nie chcą wydać dźwięku. Odpływam w sen, a gdy się budzę, doktora już nie ma. Kiedy indziej udaje mi się wychrypieć:

– Jestem Kahlia. Księżniczka Kahlia z rodu Tal-Abri.

Wtedy padają kolejne pytania – jak się czuję, czy bardzo boli, czy widzę mroczki albo świetliste plamy. Kiedy nie jestem w stanie wykrztusić odpowiedzi, doktor poleca mi dawać znaki głową na tak i nie. Jego oczy, zdeformowane przez grube szkła maski, patrzą obojętnie jak ślepia owada.

Woła Fraszkę, przyciszonym głosem udziela jej instrukcji, po czym wychodzi. Ma teraz mnóstwo pracy. Zaraza sroży się na zamku, ci, którzy nie wyjechali w porę, leżą chorzy lub już pomarli. Nie wiem, co się dzieje z moim bratem – czy zmarł, czy walczy z buntownikami Potwora, czy może pozostawił tłumienie rebelii swoim generałom, a sam przebywa teraz wiele mil stąd, w swojej letniej rezydencji w Nahel-Pey lub w gościnie u któregoś z tych nielicznych magnatów, którym jeszcze ufa. Kiedy pytam o to Fraszkę, ta wykręca się od odpowiedzi, powtarzając, że lekarz zabronił jej cokolwiek mówić.

Fraszka, która nigdy w życiu nie napisała żadnej fraszki, nie boi się zarazy – ludzkie choroby nie atakują odmieńców. Rozbiera mnie, myje gąbką maczaną w misce z chłodną wodą i odrobiną kwiatowego octu. Szepcze słowa pocieszenia, a ja próbuję się uśmiechać, żeby zrobić jej przyjemność, choć przecież i tak wiem, że umrę.

Luce, w gorączce czasem wspominam ballady, które śpiewałeś memu ojcu, gdy wpadał w swe mroczne nastroje. Chciałabym jeszcze choć raz usłyszeć twój śpiew, ale wiem, że już wkrótce będę wędrować z cieniami tam, gdzie nie ma muzyki, światła ani śmiechu.

* * *

Pierwsza małżonka naszego ojca, chalkiryjska księżniczka, została oddalona z dworu i zamknięta w odległym górskim klasztorze po tym, jak urodziła porośniętego futrem odmieńca o nietoperzych skrzydłach. Druga, córka króla Camarry, zmarła w połogu, a dziecko wkrótce po niej. Zaczęto szeptać, że to już coś więcej niż zbieg okoliczności, że może władca Naheli utracił łaskę duchów podziemnej rzeki. Te jednak, gdy złożono im kosztowne ofiary przebłagalne, ustami kapłana oznajmiły, że nic z tego, co się wydarzyło, nie stało się za ich sprawą. Doradziły też, aby król wysłał posłów aż do odległego Ive, by poprosić o rękę najmłodszej córki tamtejszego władcy. Tak uczynił i rok później Kylike

Sarhinne Lan-Taura przybyła z orszakiem do Nahel-Keris, a w dniu letniego przesilenia odbyły się zaślubiny.

W stosownym czasie królowa Kylike zaszła w ciążę i szczęśliwie urodziła – mnie. Dwa lata później na świat przyszedł Agostis, wyczekany, wymodlony następca tronu. Jego narodziny świętowano w całym królestwie. Dopiero z czasem miało się okazać, jak brzydką niespodziankę kryje w zanadrzu los.

Bogowie odeszli z naszego świata przed wiekami, więc to nie oni przeklęli mojego brata. Być może ktoś inny rzucił klątwę na nasz ród. Królowie zawsze mają wrogów, nawet jeśli są sławieni za sprawiedliwe i mądre rządy jak nasz ojciec. A może, jak twierdzili astrologowie, zawinił niefortunny układ gwiazd w chwili, gdy Agostis przyszedł na świat. Pewne jest jedno – choroba nie ujawniła się bezpośrednio po narodzinach. Pierwsze zmiany na skórze mojego brata zauważono, gdy miał trzy lub cztery lata, niedługo po tym, jak zmarła nasza matka. Początkowo przypisano je niewłaściwej diecie i brakowi równowagi wewnętrznych humorów. Nadworny medyk zaordynował potrawy z ryb oraz zimne kąpiele, ale nic to nie dało. Małe czerwone krostki rychło przeistoczyły się w zaognione plamy pokryte srebrzystą łuską, swędzące tak okropnie, że Agostisowi trzeba było związywać ręce, aby się nie drapał. Kolejni sprowadzani na zamek lekarze próbowali wszystkiego – maści, okładów, postów, okadzania siarką, kąpieli w morskiej wodzie mającej oczyścić zepsutą krew. Bez skutku.

Gdy Agostis skończył dziesięć lat, szpetne wykwity pokrywały jego ciało od stóp po czubek głowy i prawie nie opuszczał swojej komnaty, wiedząc, że nie sposób na niego patrzeć bez wstrętu. Dopiero doktor Straboni – w owym czasie ubogi, nieznany nikomu przybysz z dalekich stron – zalecił kurację, która pomogła: słońce. Kazał Agostisowi codziennie wystawiać ciało na jego promienie oraz smarować się cuchnącą maścią z dziegciu. Nasz ojciec zagroził, że jeśli po miesiącu nie będzie poprawy, każe skrócić lekarza o głowę. Jednak była wtedy pora sianokosów, panowały upały. Już po dwóch tygodniach kuracji Agostis nie posiadał się z radości: swędzenie ustało, a skóra na prawie całym ciele

odzyskała normalny wygląd. Straboni otrzymał w nagrodę tytuł szlachecki i dobra ziemskie. Gdy jednak nadeszła zima, choroba częściowo się odnowiła. Lekarz przestrzegał, że tak się stanie. Przepisał napary z zamorskich ziół, które ponownie złagodziły objawy. Dzięki temu Straboni nie pożegnał się z bogactwami i nie trafił do lochu, a może nawet pod katowski topór.

Przez sześć lat choroba łagodniała pod wpływem słonecznych promieni. Przez sześć zim zioła i kąpiele trzymały ją w ryzach, a Agostis nie tracił nadziei, że w końcu zdoła się od niej całkowicie uwolnić.

Niech bogowie, którzy dawno temu opuścili świat ludzi, wybaczą mi te słowa – leżąc w gorączce, zastanawiam się teraz, czy nie byłoby lepiej, gdyby kuracja doktora Straboniego okazała się równie bezużyteczna co pomysły innych medyków. Gdyby dla naszego ojca od początku było jasne, że jego syn nigdy nie wstąpi na tron, bo ani arystokraci, ani lud nie zaakceptują króla, którego wygląd budzi wstręt i litość.

Gdyby w naszym królestwie prawo stanowiło, że tron dziedziczy pierworodne dziecię królewskiej pary bez względu na płeć, korona przypadłaby mnie i może tak byłoby lepiej. Cóż, pozostaje mi żałować, że Agostis nie zdążył zaaranżować mojego małżeństwa z młodym następcą tronu Camarry – wówczas zapewne zdążyłabym opuścić Naheli przed wybuchem zarazy.

Leżąc w przepoconej pościeli, z wysychającym okładem na czole, przywołuję wspomnienia, żeby choć przez chwilę nie myśleć o nadchodzącej śmierci. Próbuję sobie wyobrażać, że znów mam siedem lat i razem z Agostisem biegamy po pałacowych ogrodach, karmimy łabędzie przy sadzawce, łapiemy motyle tylko po to, żeby zaraz je wypuścić. Jednak przed oczami uparcie przewijają mi się inne sceny, sprawiające, że czuję ucisk w gardle, a pod powiekami nieznośnie piekącą wilgoć.

* * *

Luce nie patrzy na mnie, a ja nie powinnam patrzeć na niego. Każde zerknięcie spod spuszczonych rzęs grozi plotką, która

pokona barierę tych rzeźbionych drzwi. Z plotek nigdy nie wynika nic dobrego. Tylko pozornie jestem bezpieczna w moim małym światku, gdzie od rana do nocy haftuje się, szyje i czyta, czyta, szyje i haftuje. Albo gra w jaskółki i węże na wielkiej, wykładanej malachitem planszy. Albo mierzy nowe suknie. Albo czesze się, maluje i stroi przed kolejną ucztą bądź innym wystąpieniem, gdzie Lilia Naheli i jej orszak muszą olśniewać urodą.

Siedzimy w Zachodniej Wieży, w Błękitnej Komnacie, nazywanej tak od obić, zasłon i mebli w pięknym kolorze nieba. Zachodnia Wieża to mój świat. Moje malutkie królestwo z bajki, zupełnie inne od tego prawdziwego. Podobne do domu dla lalek, który sprezentowano mi na siódme urodziny. Śliczne oszustwo z deseczek, tkaniny i klejonego papieru.

Dziesięć igieł pracowicie wkłuwa się w jedwab. Młodsze dwórki jak zawsze szepczą między sobą, próbując nie chichotać zbyt głośno. Ja staram się nie okazywać zniecierpliwienia. Nie one są winne temu, że odkąd mój brat wstąpił na tron, nie potrafię się uśmiechać.

Szczupłe palce Haspella od niechcenia trącają struny loberny. Selike przycupnęła w kącie, przerzucając strony ilustrowanej książeczki, blada i cicha jak zawsze. Jasnowłosa, z twarzy podobna do ojca. Już dawno przyrzekłam sobie, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, zrobię, co w mojej mocy, żeby ją jak najlepiej wydać za mąż. Nie wiadomo, czy bez mojej protekcji mogłaby liczyć na przyzwoitą partię. Luce nie posiada ani pięknego nazwiska, ani wielkiego majątku. Jest trzecim synem zwykłego szlachcica. Właścicielem kilku wiosek gdzieś w górach, blisko granicy z Camarrą.

Na prawej dłoni ma rysę, płytkie skaleczenie. Fraszka twierdzi, że wczoraj pojedynkował się z kimś w ośnieżonych pałacowych ogrodach. Widziałam kilka razy, jak sobie radzi ze szpadą. Piekielnie dobrze, znacznie lepiej od mojego brata. Agostis nigdy nie był dobrym szermierzem, choć pobierał nauki u najlepszych nauczycieli. To jedna z rzeczy, których się wstydzi.

Luce nieoczekiwanie podnosi wzrok znad instrumentu. Nasze oczy spotykają się na moment. Tylko tyle. Ale czuję dreszcz, bo

wyobrażam sobie, że on wie i że wie też, że ja wiem, że on wie.

Ma oczy koloru zachmurzonego nieba. Płowe brwi i rzęsy. Bardzo bladą cerę bez śladu piegów. Wąskie usta. Ścina włosy krótko, po żołniersku, zamiast jak większość dworzan nosić długie, fryzowane loki lub perukę. Zawsze był szczupły, ale teraz wygląda mizerniej niż kiedykolwiek, jakby przez ostatni rok podupadł na zdrowiu, choć od Fraszki wiem, że nie zasięgał rady doktora Straboniego ani żadnego innego z pałacowych lekarzy. Właściwie mogłabym przy nadarzającej się okazji spytać uprzejmie, jak się miewa. Na pewno odpowie wymijająco i podziękuje za troskę.

Księżniczki i królowe miewają romanse. Miewają kochanków. Jednak nigdy się nie łudziłam, że Luce byłby skłonny zaryzykować życie własne oraz córki dla kilku chwil wątpliwego szczęścia.

Spuszczam wzrok. Nie mogę pozwolić, aby te szare oczy wyczytały z moich, jak bardzo chciałabym dotknąć jego twarzy. Pozwolić, żeby rozpuścił mi włosy. Zobaczył mnie nagą. Tak jak mogłoby się stać, gdybym była dwórką księżniczki Kahlii, a nie Kahlią.

Jestem dla niego tylko córką króla, w którego służbie spędził jedną trzecią swego życia. Możną protektorką jego małej Selike i pięknym obrazkiem.

Lilia Naheli, nieskalana, chłodna, poza zasięgiem.

* * *

Gdy jeszcze żył nasz ojciec, Luce Haspell był jego błaznem, choć nie biegał w czapce z dzwonkami, nie wywijał kozłów i nie przedrzeźniał dworzan.

Każdy król powinien mieć błazna, by go rozweselał i pomagał się odprężyć w tych nieczęstych chwilach, gdy władca może sobie pozwolić na odpoczynek, lecz nasz ojciec, Agerius II Potężny, nie potrafił się śmiać. Nosił swój majestat jak maskę, której nigdy nie wolno zdjąć. Dlatego rolę jego błazna odgrywał Luce.

Powiadają, że głos dworskiego śpiewaka powinien być słodki jak nektar i miękki jak kobiece ciało, lecz Haspell zyskał sławę właśnie dzięki temu, że śpiewa… inaczej. Głos ma ochrypły, lecz przeszywający niczym zimowy wiatr. Dźwięczą w nim wściekłość, tęsknota i bezczelny bunt.

Największym uznaniem na ogół cieszy się to, co przeciętne i znane, lecz na królewskim dworze to opinia króla kształtuje gusta. Przypuszczam, że dworzanie i dostojnicy z początku wychwalali śpiew Haspella głównie po to, by przypodobać się władcy. Z czasem jednak sami zrozumieli, że muzyka nie kończy się na miłosnych balladach, tak jak cierpkie, aromatyczne wino oferuje ciekawsze doznania smakowe aniżeli mleko z miodem.

Sam Luce, gdy nie śpiewa, nie przykuwa na dłużej niczyjej uwagi. Jest małomówny i trzyma się na uboczu, choć gdy już się odezwie, wypowiada się zgodnie z wszelkimi prawidłami etykiety. W młodości wiele podróżował, jeszcze jako chłopiec pobierał nauki w odległych krajach, w Othlonie, Alkarze i wolnym mieście Ri Talma. Komponował i śpiewał dla władców innych królestw, nim powrócił, żeby ożenić się z córką jednego z ministrów naszego ojca. Urodziła mu czworo dzieci, lecz wszystkie poza Selike zmarły w niemowlęctwie.

Selike niedawno skończyła jedenaście lat. Miała osiem, gdy Luce owdowiał. Jego żona, w ciąży po raz piąty, zapadła na zimową gorączkę po Święcie Latarń. Pamiętam to, bo zachorowało wtedy kilka dam dworu, a także nauczyciel Agostisa i jedna z moich służących. Zimowa gorączka u jednych przebiega łagodnie – Agostis i ja przeszliśmy ją w dzieciństwie – innych zabija szybko i okrutnie. Pamiętam, jak w mglisty zimowy poranek patrzyłam z okna mojej sypialni na skromny kondukt pogrzebowy oddalający się od murów, odprowadzający Selję Haspell na miejsce ostatniego spoczynku.

Luce pozostał na zamku, choć niektórzy przypuszczali, że ogarnięty smutkiem wyjedzie gdzieś daleko. Jestem pewna, że nasz ojciec nie zgodziłby się na to. Towarzysząc mu przez lata, Haspell poznał niejedną tajemnicę, świetnie orientował się w dworskich rozgrywkach, w politycznych intrygach, układach

i układzikach. Nawet jeśli nie interesowały go gierki o wpływy i władzę, sama tylko wiedza, którą posiadał, okazałaby się wielce niebezpieczna, gdyby postanowił się nią podzielić z nieodpowiednimi osobami.

Został więc. Pamiętam, jak w żałobnym stroju śpiewał swoje pieśni podczas uczt, akompaniując sobie na harfie lub lobernie. Pamiętam, jak przesiadywał wieczorami w antykamerze przed sypialnią naszego ojca, czekając na wezwanie. W ostatnim roku swego życia, jak zanotowali kronikarze, Agerius II Potężny cierpiał na nasilającą się bezsenność, na którą nawet zioła doktora Straboniego nie zawsze pomagały. Pomogłoby opium, lecz ojciec nie chciał go zażywać, lękając się uzależnienia. Wolał, by Luce grał dla niego cichutko do późnej nocy, a czasem aż do świtu, kojąc starcze uszy i znękanego ducha.

W tamtym okresie ojciec często wzywał mnie do siebie. Moje zaręczyny z następcą tronu Alkary, które odbyły się, zanim jeszcze skończyłam siedem lat, zostały zerwane, gdy ów postanowił poślubić barbarzyńską księżniczkę z odległego wschodniego archipelagu. Teraz o moją rękę starało się wielu – królowie, książęta, magnaci. Mistrz Abell, nadworny malarz, namalował co najmniej sześć moich portretów, byłam przedstawiana posłom i ambasadorom. Ojciec zwlekał, próbując wybrać jak najkorzystniejszy sojusz. A potem, gdy nadeszła wiosna, zapadł na zdrowiu tak poważnie, że wszystkie plany na jakiś czas zawisły w próżni.

Właśnie wtedy, w czasie jego przedłużającej się choroby, Luce niepostrzeżenie przestał być mi obojętny. Sama nie jestem pewna, jak to się stało.

Na królewskim dworze nie ma prywatności. Od dziecka byłam przyzwyczajona, że prawie na każdym kroku towarzyszą mi dwórki lub dyskretnie trzymająca się z boku służba. W przedsionku mojej sypialni zawsze sypiała jedna z dam dworu, a w sąsiedniej komnacie czuwało dwóch paziów. Tym cenniejsze wydawały mi się nieczęste chwile samotności. Ale ci, którzy twierdzili, że Luce mnie uwiódł, odebrał dziewictwo królewnie

Kahlii, kłamali. Nigdy, choćby na minutę, nie zostałam z nim sam na sam.

Przez całą wiosnę i lato prawie każdy pogodny dzień spędzaliśmy w niewielkim wirydarzu w południowej części zamkowych ogrodów, w cieniu starych jabłonek o powykręcanych gałęziach: ja z dwórkami, Luce oraz Selike, która stała się moją protegowaną, choć odmawiałam tego innym, wyżej urodzonym ojcom. Haspell zawsze siadał w pewnej odległości, tak jakby pragnął mieć nas w zasięgu wzroku, ale zarazem odgrodzić się niewidzialnym murem. Nigdy nie prosiłam, by przysiadł się bliżej i zaśpiewał dla nas, więc tylko brzdąkał cicho na lobernie i bazgrał po arkuszach papieru nutowego, komponując nowe pieśni. Czasem do wirydarza przychodził też jego przyjaciel, stary poeta Ortius Kortember – gruby, ślepy na jedno oko, trochę szalony. On dla odmiany chętnie zasiadał wśród dwórek i czytał na głos swoje fantasmagoryczne wiersze o dziwach astralnego świata.

Niewiele wiedziałam wtedy o miłości, ale śmierć zaglądająca w oczy zmienia sposób patrzenia na wiele spraw. Teraz wiem, że pokochałam Luce'a tak desperacko, jak tylko może kochać osamotniona dziewczyna bez przyjaciół, bez kogokolwiek naprawdę bliskiego.

* * *

Dokładnie pamiętam dzień, kiedy zmarł nasz ojciec.

W kronikach przeczytacie, że sześćdziesięcioletni Agerius II Potężny ozdrowiał z choroby, z którą zmagał się przez całą wiosnę i większą część lata, i jesienią powrócił do normalnych obowiązków władcy, choć nie odzyskał jeszcze w pełni sił. Jeździł na polowania, wyprawił wielką ucztę w dniu moich urodzin i nic nie wskazywało, że może mu grozić rychła śmierć.

A potem, po Święcie Dusz, zachorował znowu. Trudno powiedzieć, czy zawiniło przemarznięcie podczas kilkugodzinnej uroczystości odbywającej się na wolnym powietrzu, czy ciężkie potrawy spożyte wieczorem, w każdym razie nazajutrz obudził się

z wysoką gorączką i bólami w całym ciele. Nie pomogły leki, okłady ani upuszczenie krwi. Następnego dnia po południu dworzanie zaczęli szeptać, że król umiera.

Owego wieczoru nie udałam się na spoczynek, tylko czekałam niespokojnie, wiedząc, że prędzej czy później zostanę wezwana. Nastąpiło to dopiero późną nocą. Przestraszony paź przyniósł wiadomość, która mnie nie zaskoczyła. W milczeniu udałam się za nim do drugiego skrzydła zamku, do królewskich apartamentów.

Pamiętam okropny zaduch w sypialni: woń choroby, medykamentów i kadzidła. W kącie czuwali dyskretnie Straboni i paź. Ojciec półleżał w łożu, okryty wilczymi skórami, które miały wyciągać z jego ciała ból. Oddychał chrapliwie, oczy miał zapadnięte, na twarzy pajączki wybroczyn.

Był przytomny – poznał mnie od razu – ale tak słaby, że nasza rozmowa trwała bardzo krótko. Z Agostisem rozmawiał tego ranka. Długo. Za długo. Przemęczył się, być może tracąc siły potrzebne do walki z chorobą. Choć jeśli wierzyć Straboniemu, od początku było jasne, że życie króla mógłby uratować tylko cud.

Ojciec kazał mi przysiąc na duszę zmarłej matki, że zastąpię Agostisa podczas poprzedzającego koronację obrzędu podziemnej rzeki. Dygocząc na całym ciele, złożyłam przysięgę. I dopiero wtedy spostrzegłam, że w komnacie znajduje się również Luce Haspell. Siedział bez ruchu w kącie, z dłońmi splecionymi na kolanach. Loberna stała obok, oparta o ścianę.

Chwilę później do komnaty wszedł Agostis, potem jeszcze jeden paź, a za nimi kapłanka bogini Tanathe w szarej szacie i srebrnym naszyjniku. Przy łożu zrobił się tłok. Straboni zaczął protestować zagniewanym szeptem, w końcu wyrzucił za drzwi paziów, ale niewiele to pomogło.

Ojciec poprosił niemal niesłyszalnie, żeby Luce zagrał smutną pieśń o Lylithe i aniołach, którą za życia lubiła nasza matka. Haspell posłusznie ujął lobernę. Widziałam, jak drżą mu dłonie. Jego wyćwiczone palce nawet teraz nie myliły nut, ale śpiewał niemal szeptem, bo łamał mu się głos.

Niedługo potem ojciec zaczął charczeć, szarpnął dłońmi przykrycie – dusił się w agonii. Straboni przyłożył mu do nosa

flakonik z czymś, co miało zapewne ułatwiać oddychanie. Ktoś – chyba mój brat – otworzył okno, by wpuścić do środka zimne powietrze. Kapłanka modliła się bezgłośnie, ignorując wszystkich, upiornie spokojna.

Zdawało mi się, że wszystko trwa potwornie długo, choć w rzeczywistości minęły może trzy kwadranse, nim Straboni wreszcie mógł zamknąć naszemu ojcu powieki i zakryć jego twarz, a kapłanka zapaliła u wezgłowia trzy świece.

Płakałam wbrew etykiecie. Agostis miał suche oczy.

* * *

Obrzęd podziemnej rzeki jest starszy niż zamek Nahel-Keris, starszy niż ród Tal-Abri. Przed tysiącem lat, gdy bogowie jeszcze chodzili po świecie, pierwszy z królów Naheli otrzymał od nich koronę i miecz, a nim wstąpił na tron, musiał jako pierwszy poddać się rytuałowi. Zstąpić w głąb jaskiń, które rozciągają się pod zamkiem, zdjąć szaty i na oczach dworu zanurzyć się w podziemnej rzece. Granica między światami żywych i umarłych jest tam cieńsza niż gdziekolwiek indziej w królestwie. Podczas rytuału kapłan wzywa dusze wszystkich zmarłych królów i możnych Naheli, które przybywają, by wejrzeć głęboko w duszę przyszłego władcy i poznać, czy jest gotowy do sprawowania urzędu.

Obrzęd podziemnej rzeki odbył się w przededniu koronacji Agostisa.

Gorączka mąci mi myśli, ale nie odbiera wspomnień. Leżąc w zmiętej, wilgotnej od potu pościeli, z wysychającym okładem na czole, wspominam moment, kiedy uczyniłam to, czego przed śmiercią zażądał ode mnie ojciec i na co kapłan wydał dyspensę.

Pamiętam wszystko.

Orszak na schodach, migoczące płomyki świec, dworzanie w paradnych strojach – brokaty, koronki i hafty, tak bardzo nie na miejscu w mrocznej, wilgotnej kawernie. Rozedrgana poświata odbija się w dziesiątkach wystraszonych oczu, bliskość podziemnej rzeki działa na wyobraźnię; damy dworu z trudem są w stanie

ustać w miejscu, ale i mężczyźni tylko udają spokojnych. Jedynie kapłan w swym wspaniałym ornacie, ciężkim od złota i drogich kamieni, wydaje się niewzruszony. Donośnym głosem wypowiada kolejne formuły w prastarym języku bogów i magów, przywołując umarłych.

Obok mnie – blada twarz Agostisa, nieruchoma jak maska z gipsu. Wąska kreska zaciśniętych ust. Nie zdejmuje dłoni z mojego ramienia, jakby się bał, że ucieknę.

W końcu kapłan odwraca się i przywołuje mnie gestem.

To dziwne, ale teraz, gdy sięgam pamięcią do tamtej sceny, widzę wszystko tak, jakbym patrzyła z góry. Dwórki zabierają pelerynę, którą do tej pory byłam okryta, zostaję w cienkim lnianym gieźle. Zebrani patrzą, jak schodzę boso po kamiennych stopniach, uważając, żeby się nie pośliznąć. Ich napięte twarze mówią mi, że we wszystkich głowach kołacze się jedna myśl.

Czy dyspensa kapłana wystarczy, by duchy zaakceptowały odstępstwo od litery rytuału? A może wpadną w gniew?

Może nie wyjdę z rzeki żywa?

Wchodzę do czarnej wody. Zimno przenika mnie aż do kości, wzdrygam się mimo woli. Ktoś – może Luce Haspell – gwałtownie wciąga oddech.

Wchodzę głębiej, po kolana, potem po pas. Klękam, by zanurzyć się z głową. Nie czuję nic oprócz przeraźliwego zimna.

Nie słyszę nic oprócz ciszy.

Wychodząc z powrotem po śliskich kamiennych stopniach, potykam się, ale w ostatniej chwili łapię równowagę. Nikt nie podbiega, żeby mi pomóc. Dopiero kiedy ponownie staję obok kapłana, któraś z dwórek okrywa mnie suchym prześcieradłem. Owijam się nim pośpiesznie, czując na sobie dziesiątki spojrzeń. Mokre włosy oblepiły mi twarz. Dygoczę niepohamowanie, pokryta gęsią skórką.

Woda w rzece jest spokojna, gładka jak czarne szkło.

* * *

Po koronacji oczywiście odbyła się uczta. Trwała całą noc.

Wielką biesiadną salę udekorowano girlandami z bluszczu i kwiatów. Setki woskowych świec sprawiły, że było jasno jak w dzień. Agostis odziany w strój z białego, haftowanego złotem aksamitu, skrzący się od klejnotów – same tylko brylantowe guziki kaftana, wielkości małych śliwek kosztowały fortunę – wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać młody władca: smukły jak młode drzewo, wyprostowany i dumny. Ale i tak wszyscy wiedzieli, że jego skryte w jedwabnych rękawiczkach ręce są nasmarowane dziegciową maścią i owinięte bandażami.

Biesiadzie towarzyszyła muzyka, a także inne atrakcje. Smagłe tancerki z Yadhmaru dzwoniły bransoletami, powiewając szatami w odważnym tańcu – w swojej ojczyźnie ponoć tańczą na wpół nagie, odsłaniając brzuchy i uda. Żonglerzy i akrobaci pokazywali karkołomne sztuczki. Wino rozgrzało biesiadników – ich twarze zarumieniły się, lśniły od potu. Oczy błyszczały, a wykrzykiwane toasty stawały się coraz bardziej nieskładne. W końcu Agostis zażądał, aby wystąpił Luce.

Haspell od początku uczty sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Jadł niewiele, pił jeszcze mniej. Gdy ujął lobernę i wyszedł na środek sali, gwar przycichł tylko trochę. Ale wyćwiczony głos Luce'a wzbił się ponad zgiełk, przeciął go jak nóż i nim przebrzmiała pierwsza zwrotka, na sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Haspell śpiewał balladę o naszym ojcu, o jego młodości, o wojnach, które prowadził, i zwycięstwach, które odnosił, jadąc w pierwszym szeregu do bitwy. Zmartwiałam. Nie znał Agostisa tak dobrze jak ja i dlatego nie wiedział, że mój brat potraktuje tę pieśń jako coś gorszego jeszcze od zniewagi. Ja uznałabym ją po prostu za hołd składany pamięci naszego rodzica i przypomnienie w pięknych słowach, czyimi dziedzicami jesteśmy. Ale dla mojego nieszczęsnego świeżo koronowanego brata to było wykrzyczenie wprost, wobec całego podpitego tłumu dworaków i możnych: patrzcie, kochani. Wszak macie oczy. Patrzcie i porównujcie.

Agostis opróżnił tego wieczoru niejeden puchar i w zasadzie był już pijany, choć nie chwiał się na nogach. Gdy tylko przebrzmiała ostatnia zwrotka ballady, wstał.

– Straż! – ryknął, wskazując Luce'a. – Do lochu z nim!

Biesiadnicy znieruchomieli. Sztućce zamarły w połowie drogi do ust, a w ciszy, jaka zapanowała, dałoby się usłyszeć spadającą szpilkę.

Gwardziści podeszli do Haspella, ale widziałam, że się wahają. Co zrobić, gdy pierwszego wieczoru po koronacji nowy król wydaje po pijanemu rozkaz, którego zapewne będzie żałował, gdy wytrzeźwieje?

Dowódca gwardii powiedział coś cicho do Haspella. Ten wzruszył ramionami i pod eskortą opuścił salę. Goście, którzy początkowo oniemieli, teraz zaczynali szemrać, niektórzy już podnosili się z miejsc. Gdy jednak Agostis odwrócił się i potoczył po nich wściekłym wzrokiem, zmartwieli.

– Muzyka! – ryknął mój brat. – Muzyka! Grać!

Pobladli muzycy bez słowa chwycili instrumenty.

Zdawało mi się, że ta uczta nigdy się nie skończy. Agostis upił się prawie do nieprzytomności, a ja musiałam na to patrzeć, gdyż zabronił mi odchodzić od stołu.

* * *

Nazajutrz okazało się, że Luce nie trafił do lochu, bo zanim jeszcze go tam odprowadzono, przyszedł drugi rozkaz, by nadwornego śpiewaka jednak uwolnić. Teraz, umierając, mogę już zdradzić, że pozwoliłam sobie wykorzystać fakt, iż dowódca królewskiej gwardii był mi winien przysługę. Liczyłam się z możliwymi konsekwencjami, lecz wytrzeźwiawszy, mój brat o dziwo postanowił nie drążyć tej sprawy. Nie wiem, kto na niego wpłynął – może nasza ciotka Emelja, jedna z nielicznych osób, których zdanie zawsze szanował.

Luce pozostał na dworze, lecz znalazł się w niełasce. Skończyły się występy na ucztach, nie mówiąc o muzykowaniu wieczorami w komnacie władcy. Dziwiło mnie, czemu nie wyjedzie z córką gdzieś daleko, gdzie nie mógłby im zagrozić żaden nagły przypływ Agostisowej podejrzliwości czy poryw jego gniewu. Tłumaczyłam sobie, że widocznie Haspell nie potrafi się jeszcze zdobyć na to,

żeby opuścić Nahel-Keris, z którym wiązało go tyle wspomnień. Wystarczająco wielu dostojników nadal pragnęło słuchać jego śpiewu i wynagradzało jego talent, mała Selike zaś była stosunkowo bezpieczna pod moimi skrzydłami.

Trzeba też powiedzieć, że Agostis, szkolony przecież od małego do objęcia rządów, przed koronacją nie zapowiadał się wcale na złego władcę. Bywało, że oboje towarzyszyliśmy ojcu podczas narad czy sprawowania sądów. Pamiętam, jak Agostis bywał pytany, jaki wydałby wyrok lub co postanowiłby w sprawie rozważanej przez ministrów. Wtedy, pod czujnym okiem naszego ojca, udzielał rozsądnych, a czasem nawet zaskakująco mądrych odpowiedzi.

Nie ja jedna liczyłam, że zachowanie mego brata na owej feralnej uczcie po koronacji stanowiło godny pożałowania, ale jednorazowy wybryk. I nie ja jedna z biegiem czasu powoli, lecz nieubłaganie nabierałam pewności, że król Agostis to ktoś całkiem inny niż królewicz Agostis. Wiedziałam, rzecz jasna, że mój brat potrafi być porywczy i podejrzliwy, ale w najgorszych przypuszczeniach nie zgadłabym, jaki się stanie po wstąpieniu na tron.

Już w pierwszych miesiącach rządów mego brata posypały się aresztowania. Dworzanie szeptali po kątach o okrutnych przesłuchaniach w Żelaznej Wieży, o łamaniu kości, wydłubywaniu oczu, wyrywaniu języków rozpalonymi kleszczami. Agostis uważał, że jeśli nie będzie rządził twardą ręką, rychło pożegna się z tronem.

Dostrzegając narastające zagrożenie ze strony Wethvooru, naszego chciwego i wojowniczego sąsiada, wysłał posłów do Camarry, proponując odnowienie dawnego sojuszu. Padła propozycja, abym poślubiła camarryjskiego królewicza Ferehila, którego widziałam tylko raz w życiu, gdy byliśmy dziećmi. Na portrecie miał czarne włosy do ramion, smagłą cerę i dumne spojrzenie. Plotkarze szeptali, że wykazuje niebezpieczne zainteresowania, że nieobce są mu astrologia i alchemia, a kto wie, czy nie arkana Zakazanej Sztuki. Mówiono też, że po przebytej w dzieciństwie chorobie kuleje, lecz mimo to po

mistrzowsku włada bronią, że wejrzenie ma ponure, ale obyczaje dworne; mówiono różne rzeczy, po części wykluczające się wzajemnie, ale wizerunek, który wyłaniał się z tych wszystkich relacji, nie był odstręczający, wprost przeciwnie. Nie żeby to miało znaczenie. Dla dobra Naheli zgodziłabym się na ten mariaż, nawet gdyby Ferehil miał garb, szpony harpii i świński ryj.

* * *

Na przestrzeni wieków tylko nieliczni władcy Naheli cieszyli się szczególnym przywilejem, jakim jest kontakt z duchami bez pośrednictwa kapłana. Nasz ojciec nie posiadał tego daru. Umarli na pewno mają konkretne powody, żeby przemawiać tylko do wybranych, ale nikt nie wie, czym się kierują.

Po raz pierwszy usłyszałam ich głosy wiosną.

Teraz wydaje mi się dziwne, że kiedy w mojej głowie po raz pierwszy odezwał się szum, w którym przy odrobinie wysiłku dało się rozróżnić niewyraźne szepty, nie poczułam lęku. Może dlatego, że z miejsca wiedziałam, kto do mnie przemawia.

Od pierwszej chwili wiedziałam też, że nie mogę zdradzić Agostisowi, jaki zaszczyt mnie spotkał. Dworzanie już dawno się zorientowali, że każde nieopatrzne napomknienie o tym, jak księżniczka Kahlia zanurzyła się w podziemnej rzece, powoduje natychmiastową niełaskę. Wiedziałam, że nawet trzymając się w cieniu, nawet szydełkując całymi dniami w Błękitnej Komnacie, stąpam po kruchym lodzie, więc w dwójnasób dbałam o to, by Agostis nie miał powodu przypuszczać, że zagrażam jego pozycji.

Prawo sukcesji w Naheli stanowi, że królewska córka może zasiąść na tronie wtedy, kiedy zabraknie spadkobierców płci męskiej. Gdyby Agostis, który z błahych powodów wtrącał dworzan i urzędników do lochu, powziął podejrzenie, że spiskuję, by przejąć tron, moje życie nie byłoby warte złamanego grosza. Ale może po prostu znał mnie wystarczająco dobrze, by mi ufać.

Nie umiałam, rzecz jasna, pozostawać zupełnie bierna, zwłaszcza kiedy widziałam, że mój porywczy brat podejmuje nierozsądne decyzje. Miałam na dworze własnych zaufanych ludzi

i dbałam o to, żeby zawsze wiedzieć, o czym debatuje się w trakcie narad. Znając Agostisa lepiej niż ktokolwiek inny, nieraz dyskretnie podpowiadałam jego doradcom, jak z nim postępować, i gdyby nie to, niejeden wydany przez niego rozkaz na pewno wyglądałby inaczej, a sytuacja w królestwie zaogniłaby się jeszcze wcześniej. Jednak tego, że słyszę umarłych, nie wyjawiłam nikomu.

Z początku zachłannie wsłuchiwałam się w ich szepty z naiwną nadzieją, że wychwycę wśród chóru głos ojca. Ale nie. Umarli nie noszą już imion i wszyscy brzmią tak samo, są jedną zbiorową świadomością. Duszą Nahel-Keris, jeśli można tak powiedzieć.

Nie zawsze mówią zrozumiale. Prawdę powiedziawszy, najczęściej czuję jedynie ich obecność – delikatny szmer na granicy świadomości. Są tam, obserwują, słuchają, ale zazwyczaj unikają wpływania na bieg wydarzeń. Rzadko kiedy postanawiają przekazać jakąś informację, a jeszcze rzadziej – ostrzec.

* * *

Wiosną mój brat wyprawił ucztę pożegnalną na cześć ambasadora Camarry, który miał w nadchodzących dniach wyruszyć z powrotem do ojczyzny. Pertraktacje dotyczące sojuszu i mego planowanego ślubu z Ferehilem nie zostały jeszcze doprowadzone do konkluzji satysfakcjonującej obie strony, ale padła już data możliwych zaręczyn. Sam Ferehil miał przybyć do Naheli na początku jesieni.

To Agostis wpadł na pomysł, aby uroczystość uświetnić cudeńkami z astralnego świata. Kazał sprowadzić za bajeczne pieniądze błękitne wino z Etherei, słodkie jak nektar, pachnące kadzidłem i wanilią, a także śpiewające lilie z Zandorry; ustawiono je w pozłacanych misach z wodą w pobliżu podium dla muzykantów, a kiedy nasi harfiści i fleciści grali, czarodziejskie kwiaty wtórowały im niezwykłymi głosami, brzmiącymi tak, jakby wróżka potrząsała szklanym dzwonkiem. Widziałam, że ambasador i jego świta są zachwyceni.

Od czasu koronacji Agostis, który na szczęście potrafił uczyć się na błędach, już ani razu nie upił się publicznie. Teraz ku mojej uldze sączył trunki z umiarem, dwornie rozmawiał z ambasadorem oraz jego świtą i zachowywał się pod każdym względem bez zarzutu. Jak syn swojego ojca.

Uczta toczyła się swoim torem bez najmniejszego zgrzytu czy uchybienia zwyczajom. Gdy jednak zaczęto wnosić ciasta, sorbety i owoce w cukrze, raptem poczułam dziwny niepokój, narastający z każdą chwilą. Z początku nie wiedziałam, co może być jego źródłem, ale potem w mojej głowie odezwał się znajomy chór szeptów. Duchy mnie ostrzegały. Mętnie, niejasno – jak zwykle nie umiałam określić, czy wyławiam z niewyraźnego szumu słowa, czy też w moim umyśle pojawia się przekaz, któremu dopiero moja świadomość nadaje werbalną formę.

Rozejrzałam się po sali, wypatrując możliwych zagrożeń, lecz niczego nie dostrzegłam. Muzyka grała głośno, biesiadnicy byli podochoceni, ich twarze lśniły od potu w blasku świec. Gwardziści stali na swoich miejscach, nieruchomi jak rzeźby, a mój niepokój narastał.

Spojrzałam w stronę drzwi prowadzących do skrzydła kuchennego. Dwóch służących właśnie wnosiło na salę wielki półmisek, na którym spoczywał ogromny paw z polukrowanego marcepanu, z pozłoconą piersią oraz ogonem z pawich piór. Wśród biesiadników dały się słyszeć okrzyki podziwu.

I wtedy szepty w mojej głowie wezbrały jak fala.

Jeden ze służących dźwigających pierzaste dzieło sztuki cukierniczej zachwiał się nagle, prawie tracąc równowagę. Zabrzmiały okrzyki niedowierzania, a potem zgrozy, gdy wszyscy ujrzeli, jak marcepanowy paw wbrew prawom natury podrywa się z półmiska, jak rozpada się w powietrzu, siejąc wszędzie kawałkami słodkiej masy i piórami. Ze środka wyfrunęło coś ciemnego, o falujących, rozmytych konturach, piekielnie szybkiego, co rzuciło się w naszą stronę, rosnąc w oczach.

Gdzieś blisko usłyszałam głos wypowiadający kilka chrapliwych słów i nagle odniosłam wrażenie, że wraz z Agostisem znaleźliśmy się wewnątrz przezroczystej bańki, poza którą

zatrzymał się czas. Przez ułamek sekundy patrzyłam na zamrożony w bezruchu mroczny obłok z tysiącem jarzących się ślepi. Rozległ się przeraźliwy trzask i to coś, czymkolwiek było, zniknęło w jasnym rozbłysku, pozostawiając jedynie rozwiewający się zielonkawy dym i smród.

Agostis dygotał na całym ciele. Na stole przed nim spoczywał przewrócony puchar, błękitne wino wsiąkało w adamaszkowy obrus.

Szum w mojej głowie ponownie wyostrzył się w głosy duchów podziemnej rzeki. Szeptały chaotycznie, urywanymi zdaniami, ale gdy się wsłuchałam, szybko pojęłam, co się stało. Wśród świty ambasadora był mag incognito – czarny, przeklęty mag – który w porę osłonił mnie i Agostisa niewidzialną tarczą, a monstrum czy demona wyrzucił z powrotem do jego wymiaru. Uczynił to jednak tak zręcznie, że nie zdradził setkom świadków swojej tożsamości.

Uzbrojona w tę wiedzę, w milczeniu potoczyłam wzrokiem po sali, gdzie wrzało jak w ulu – biesiadnicy, którzy chwilę wcześniej zamarli w zgrozie, dopytywali się jeden przez drugiego, co się stało. Kilka dam dostało spazmów, kogoś cucono z omdlenia. Ambasador Camarry, zazwyczaj opanowany, cały się trząsł.

– Talizman Locrisa, najjaśniejszy panie – wykrztusił, unosząc dziwaczny złoty wisior w kształcie słońca, wysadzany perłami i rubinami. – Bogom niech będą dzięki, że zdążyłem go uaktywnić, by osłonić Wasze Wysokości.

Kłamie, Kahlio. On kłamie. Chce ukryć fakt, że ma w swojej świcie maga. Wyraźnie słyszałam w głowie głosy duchów podziemnej rzeki.

Nic nie powiedziałam, przeczuwając, że lepiej będzie nie postępować pochopnie. Popatrzyłam na Camarryjczyków – sprawiali wrażenie przerażonych. Ambasador, z tego, co o nim wiedziałam, był poza podejrzeniami. Więc kto? Jego przyboczni, jego sekretarz, osobisty medyk? Znałam ich, wszyscy zostali mi przedstawieni, z każdym zamieniłam przynajmniej kilka słów. Siwowłosy pan d'Alris, stary awanturnik z blizną na czole, nachylił się i szeptał coś ambasadorowi. Trochę młodszy od niego

pan Drey siedział bez ruchu, gapiąc się na rozrzucone po posadzce kawałki marcepanu. Uroczy pan Kebrin, ulubieniec moich dwórek, uspokajał swoją przerażoną sąsiadkę. Medyk zdążył już otrząsnąć się z szoku i pobiegł, żeby ratować omdlałą księżną Tal-Dorre, a sekretarz wyglądał tak, jakby było mu niedobrze.

Duchy nie zamierzały mi udzielić odpowiedzi; nawet nie zauważyłam, kiedy ich głosy ucichły.

Mój brat przywołał jednego z paziów i szeptem wydał mu rozkazy. Potem wstał i przemówił do obecnych, zwięźle i z chłodnym spokojem przepraszając za to, co się wydarzyło.

Uczta dobiegła końca. Biesiadnicy rozchodzili się w ciszy, bladzi ze zgrozy, a ja wiedziałam, że prawdziwy koszmar dopiero się zaczyna.

* * *

Po nieudanym zamachu, jak łatwo się domyślić, paranoja mego brata sięgnęła szczytu. Ambasador wraz ze swoją świtą wyjechał dwa dni później, niezatrzymywany, ale dowódca królewskiej gwardii po okrutnym przesłuchaniu oddał głowę katu. Posypały się aresztowania, w więzieniu wylądował nawet biedny poeta Ortius Kortember, któremu w nieodpowiednim towarzystwie wymknęły się nieodpowiednie słowa.

Trzy tygodnie później na błoniach pod zamkiem odbyła się pokazowa egzekucja dwudziestu możnych i pięćdziesięciu sześciu nisko urodzonych oskarżonych o zdradę oraz spiskowanie przeciwko władcy. Nim poprowadzono ich na miejsce kaźni, żołnierze wetknęli każdemu do ust pawie pióro.

Nie udało się jednak ustalić tożsamości faktycznego zleceniodawcy zamachu. Prawdę poznaliśmy dopiero po kilku miesiącach.

Tego lata królestwo nawiedziła długotrwała susza, a słabe plony spotęgowały narastające niezadowolenie ludu. Wieści przywożone przez posłańców z poszczególnych prowincji stawały się coraz bardziej niepokojące: protesty przeciw wysokim podatkom, ataki na poborców, zamieszki w miastach, wielmoże

jawnie wyrażający swoje niezadowolenie. Agostis stanął wobec dylematu: obniżyć podatki, ale zwolnić część wojsk zaciężnych, które miały nas chronić przed zagrożeniem ze strony Wethvooru, czy ryzykować, że sytuacja w królestwie wymknie się spod kontroli. Ciągłe napięcie sprawiło, że jego choroba się zaostrzyła – szpetne łuszczące się wykwity pokryły kark i część twarzy. Widziałam też, że zdecydowanie zbyt często dodaje sobie odwagi winem. Próbował to ukrywać, płucząc usta perfumowaną wodą, ale służba plotkowała, a mnie gryzł niepokój.

Coraz częściej trafiały do nas doniesienia, że to, co dzieje się w królestwie, nie jest dziełem przypadku, że ktoś konsekwentnie podburza naszych poddanych. Tajemniczy wichrzyciele pojawiali się na jarmarkach, w karczmach, wypisywali swoje hasła na miejskich murach, rozprowadzali jadowite, szkalujące nas pamflety, a potem znikali jak kamfora, uciekając przed aresztowaniem. Mój brat miotał się w bezsilnej wściekłości i dopóty rozsyłał szpiegów, obiecując coraz wyższe nagrody, aż zdołał z kilku źródeł uzyskać informację, która potwierdziła nasze podejrzenia.

Mieliśmy wroga. Być może groźniejszego niż Wethvoor. Podstępnego jak wąż, cierpliwego jak kornik. Wroga, który czekał na swoją szansę przez długie lata, a po nieudanym zamachu postanowił obrać inną strategię.

Syn pierwszej małżonki naszego ojca, odmieniec oddalony z dworu jako niemowlę, dorósł. I nosił teraz imię Potwór.

* * *

Dręczy mnie pragnienie. Dzwonię dzwonkiem, który zawsze znajduje się w zasięgu mojej ręki, przywołując Fraszkę.

Ponieważ Potwór jest odmieńcem, niektórzy twierdzą, że powinnam była oddalić Fraszkę z dworu, ale teraz, gdy w Nahel-Keris szaleje zaraza, są wdzięczni, że tego nie zrobiłam, bo moja wierna służka pielęgnuje nie tylko mnie.

Nie jestem pewna, jak długo już choruję, straciłam rachubę dni. Nie wiem, czemu zaraza jeszcze mnie nie zabiła, skoro doktor

Straboni twierdzi, że większość chorych albo umiera, albo zdrowieje w ciągu tygodnia od pojawienia się gorączki. Czy to możliwe, że mimo wszystko chroni mnie moc duchów podziemnej rzeki?

Ilekroć jestem wystarczająco przytomna, żeby pamiętać, co się dzieje, proszę umarłych, aby zesłali nam ratunek. Ostatnio nie słyszę ich szeptów, tak jakby nie chcieli mnie niepokoić swoją obecnością.

Za oknami mojej sypialni szarzeje zmierzch. Ból nasila się, jak zwykle pod wieczór. Czuję się tak, jakby kaci rozciągali moje ciało za pomocą któregoś ze swoich piekielnych urządzeń, wyrywając mi kończyny ze stawów. By choć przez chwilę o tym nie myśleć, przymykam oczy i znów przywołuję wspomnienia.

* * *

Zostałam wezwana, więc śpieszę do gabinetu we wschodnim skrzydle, gdzie mój brat od rana rozmawiał dziś z doradcami. Służba szepcze, że jest w fatalnym nastroju i dworzanie boją się do niego zbliżać. To nic nowego. Znam go jak siebie samą, więc wiem, że dzień i noc zżera go strach przed trucizną w kawałku ciasta, klątwą przemyconą w winie, sztyletem zamachowca czającego się za zasłoną.

Paziowie otwierają przede mną drzwi gabinetu. Wchodzę, a za mną dwie dwórki, które towarzyszą mi na każdym kroku. Składam przed moim bratem głęboki dyg, pochylając głowę ustrojoną perłami i świeżymi kwiatami – Lilia Naheli musi zawsze wyglądać jak najpiękniej, nieskazitelnie, bez względu na to, co się dzieje na zamku.

Agostis niecierpliwym gestem odsyła damy dworu; paziowie zamykają drzwi. Zostajemy sami.

Patrzę na mojego młodszego brata, którego kiedyś, lata temu, tuliłam wieczorami i śpiewałam mu do snu.

Wykwity na twarzy Agostisa zaogniły się jeszcze, odkąd ostatnio go widziałam. Nosi teraz perukę, a na dłoniach jak zawsze ma białe jedwabne rękawiczki. Mimo perfum, którymi się

oblewa, z bliska czuć od niego lekki zapach dziegciu, a także znacznie silniejszą woń przetrawionego wina.

– Czemu mnie wezwałeś? – pytam, patrząc mu prosto w oczy. Jestem jego starszą siostrą, to ja go pocieszałam i śpiewałam mu kołysanki, kiedy był małym chłopcem bojącym się ciemności. Nie łamię etykiety przy świadkach, ale nie będę się korzyć przed Agostisem, kiedy rozmawiamy sam na sam.

On odwzajemnia moje spojrzenie. Patrzymy na siebie w przedłużającej się ciszy. Sekundy pełzną nieznośnie wolno. Czekam z niewzruszoną miną, tłumiąc niepokój.

– Wiem, że Luce Haspell jest twoim kochankiem – mówi w końcu mój brat.

– Nie jest moim kochankiem – odpowiadam, ale choć mówię szczerą prawdę, głos mi drży. Boję się o Luce'a, a także o jego córkę.

Agostis najwyraźniej o tym wie.

– Przyznałby się do tego na torturach – odpowiada z uśmiechem zimnym jak żelazo. – To wystarczy.

Biorę głęboki oddech, powtarzając sobie, że jedyne, co muszę zrobić, to zachować spokój.

– Nie wiem, bracie, czemu ma służyć ta wymiana zdań – mówię z nieprzeniknioną miną. – Zawsze możesz po prostu oddalić Haspella z dworu, niech wraca w swoje strony.

Agostis nie odpowiada. Odwrócił głowę, patrzy teraz w okno. Dziś rano na polu za zamkiem odbyły się trzy egzekucje. Nie było mnie tam, ale Fraszka opowiedziała mi, jak to wyglądało. Trzech niedoszłych zamachowców z cechu kupców bławatnych, którzy na torturach zeznali, że planowali otruć króla, posyłając mu w darze szatę nasączoną jadem grgolicy, najpierw szarpano rozpalonymi szczypcami, potem nabito na pale, a po zapadnięciu zmroku ku uciesze gawiedzi oblano olejem skalnym i podpalono.

Ponieważ Potwór cały czas prowadzi z ukrycia swoją krecią robotę, mój brat także nie ustaje w tropieniu swoich wrogów. Kaci w lochach nie narzekają na brak zajęcia, a wyroki śmierci wykonuje się prawie codziennie. W dniu koronacji, gdy Agostis klęczał na podwyższeniu wzniesionym pośrodku Lwiego Rynku

i wydawał się tak młody – niewinny szesnastolatek w białym stroju – całkiem inaczej wyobrażałam sobie jego przyszłe rządy.

Kusi mnie, by powiedzieć mu w oczy kilka prawd, ale zachowuję gorzkie słowa dla siebie, bo doprowadzenie Agostisa do wściekłości nic nie da. W milczeniu spoglądam w okno, rozmyślając o trzech zwęglonych ciałach wbitych na pale i o krzykach, które – jak twierdzi Fraszka – dobiegają nocami z lochów. Mój brat nie jest pierwszym władcą Naheli, który miał niebezpiecznych wrogów i walczył z nimi wszelkimi środkami. Rzecz w tym, że czytając raporty z sali tortur, zaniedbuje ważniejsze sprawy. Na przykład kwestię mojego małżeństwa i sojuszu z Camarrą.

– Siostro, nie odwracaj głowy, gdy do ciebie mówię – rzuca ze zniecierpliwieniem Agostis.

Wiem, że nieprzypadkowo zaczął tę rozmowę od wzmianki o Haspellu. Próbuje mnie zbić z tropu, wywołać lęk. Pytanie po co.

– Wybacz – odpowiadam cicho. – Zamyśliłam się.

Zapada przedłużające się milczenie. Agostis spogląda na mnie cierpko, machinalnie drapiąc się w ramię. Na pewno marzy o chwili, gdy wreszcie będzie mógł zdjąć szaty, odwinąć bandaże i posmarować wykwity świeżą porcją maści.

Został wychowany do swojej roli, więc są momenty, gdy sobie radzi. Powiem więcej, całkiem często wykazuje się tą samą roztropnością, którą objawiał jako chłopiec, gdy nasz ojciec pytał go z uśmiechem: co byś postanowił w takiej a takiej sprawie, będąc królem? Rozważnie rozsądza spory między poddanymi, wyznacza właściwe osoby do objęcia urzędów, umiejętnie negocjuje z dyplomatami. Kiedy indziej przychodzi podpity na narady, wybucha gniewem w najmniej oczekiwanych chwilach, obraża magnatów.

Niektórzy z ministrów i generałów mimo wszystko liczą się z jego zdaniem. Inni uważają, że choroba, która od tylu lat trawi jego skórę, zaszkodziła również umysłowi. I że zamiast rządzić, powinien siedzieć zamknięty w wieży gdzieś daleko.

Ale mimo wszystko jest krwią z krwi Ageriusa II Potężnego z rodu Tal-Abri. Jak ja. I wciąż jeszcze wierzę, że nauczy się

rządzić mądrze.

– Dziś rano otrzymałem raport od szefa tajnej policji – mówi wreszcie Agostis. – Nasz skrzydlaty braciszek wciąż wymyka się sidłom.

– Obiecaj wyższą nagrodę. W granicach rozsądku ma się rozumieć.

– Tak zrobię. – Spogląda na mnie z ukosa. – Ale musisz wiedzieć jeszcze jedno. Są poszlaki, że Luce Haspell szpieguje dla Potwora.

– To podłe kłamstwo. – Nie całkiem udaje mi się opanować drżenie głosu wywołane gniewem, a nie strachem. – Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co mówią twoi donosiciele.

– Mam informacje z wiarygodnego źródła. – Mój brat podnosi ze stołu list ze złamaną pieczęcią, ale mi go nie wręcza.

– Twoi ludzie się mylą – mówię twardo. – To niemożliwe. Nie Haspell.

– Doprawdy? – Agostis unosi brwi. – W takim razie, Kahlio, ty dostarcz mi dowody, że jest niewinny.

Wie o moich kontaktach, o dworzanach, którzy po cichu przekazują mi informacje; byłby naiwny, gdyby sądził, że tylko on dysponuje siecią informatorów.

– Dostarczę ci je – mówię cicho, już wiedząc, co muszę zrobić.

– Masz dwa dni, nim każę go aresztować – odpowiada z pogardliwym uśmiechem. Potem poważnieje. – Ze względu na pamięć naszego ojca, siostro, ja również wolałbym mieć pewność, nim skażę Haspella na śmierć.

* * *

W kawernie panuje cisza. Nie słychać kapania, szelestu nietoperzy, nic. Poza kręgiem światła rzucanym przez latarnię trwa nieprzebita, odwieczna ciemność.

Fraszka pomaga mi się rozebrać, a później wycofuje się bez słowa, zabierając suknię i gorset. W samej koszuli i bosa zapalam kadzidło, recytując słowa modlitwy, rozlewam przed kamiennym ołtarzem mleko, oliwę i wino. Potem, starając się nie myśleć

o tym, co robię, kolejno wyjmuję siedem gołębi z wiklinowej klatki i ukręcam im łebki, a ciepła krew kapie na suchą ziemię. Martwe ptaki składam na ołtarzu, wiedząc, że rano już ich tu nie będzie.

Na koniec wchodzę do rzeki. Stojąc po pas w czarnej wodzie, unoszę zakrwawione ręce i zapytuję, czy oskarżenie Agostisa jest prawdziwe.

Duchy milczą, nie dając żadnego znaku, że mnie usłyszały. Pytam ponownie, twardo, z naciskiem. Choć serce zamiera mi ze strachu, mój głos nie drży. Muszę to wiedzieć, muszę znać prawdę.

I w końcu, po długiej chwili, w mojej głowie odzywa się szept.

Odpowiedź.

* * *

Nie poprosiłam umarłych, aby uratowali Luce'a Haspella przed karzącym ostrzem królewskiej sprawiedliwości, bo jestem córką mojego ojca i pamiętam, jak powtarzał, że dla władcy liczy się tylko racja stanu. I to nic, że zapytani wprost potwierdzili niewinność śpiewaka. Prosząc, aby pomogli go ocalić, mogłabym stracić ich szacunek.

Ale to nie znaczyło, że nie miałam innych możliwości działania. Potajemnie wezwałam Haspella do siebie i rozkazałam, aby natychmiast wyjechał z kraju, zabierając córkę. Powiedziałam, że ma wrogów, którzy dostarczyli królowi spreparowane dowody jego zdrady. Luce wysłuchał tych rewelacji z właściwym sobie spokojem, ale podziękował za ostrzeżenie i zapewnił, że potraktuje je bardzo poważnie.

Wyjechał z Nahel-Keris jeszcze tej samej nocy, zabierając Selike. Nikt nie wiedział, dokąd się udali. Gdy Agostis dowiedział się o zniknięciu śpiewaka, oczywiście wpadł w gniew. Wezwał mnie przed swoje oblicze, a wtedy przedstawiłam mu zeznania na piśmie podważające ustalenia jego agentów. O ile Luce nie wziął ode mnie nawet jednej złotej monety – zaoferowałam pomoc w ucieczce, ale jej nie przyjął – to uzyskanie tych zeznań kosztowało mnie słono, chociaż mniej niżby mogło. Na szczęście

szpiedzy i donosiciele mają to do siebie, że dają się przekupywać, ale co ważniejsze, można też ich szantażować. A ja miałam czym.

Nie wiedziałam, czy Luce i Selike zdołali bezpiecznie opuścić Naheli, ale przynajmniej czułam, że zrobiłam dla nich tyle, ile mogłam. Wkrótce, niestety, wydarzenia przybrały taki obrót, że los Haspella i jego córki stał się najmniejszym z moich zmartwień.

* * *

Późną jesienią w stolicy pojawiły się pierwsze przypadki zarazy. Z początku ani Agostis, ani ja nie przywiązywaliśmy do tych doniesień większej wagi. Epidemie są nieprzewidywalne: czasem szerzą się jak pożar mimo wszelkich środków ostrożności, ale znacznie częściej zachoruje kilkadziesiąt osób, kilkanaście umrze i na tym sprawa się kończy. Prawo określa, jakie kroki musi podjąć rada miasta, kiedy ludzie zaczynają chorować na dżumę, cholerę, ślepicę lub czarną gorączkę: wytruć szczury, oczyścić ulice i rynsztoki z zalegających śmieci, palić ogniska, aby dym odganiał miazmaty choroby, a ciała zmarłych jak najszybciej poddawać kremacji lub grzebać wraz z rzeczami osobistymi. Gdyby sytuacja zaczęła się stawać groźna, wyjechalibyśmy wraz z całym dworem do Nahel-Pey, co zdarzało się już kilkakrotnie za mojej pamięci. Dopóki jednak chorowała głównie biedota z przedmieść, nie było takiej potrzeby.

Bardziej niepokoił nas Potwór. Zdeklarowany wróg nas obojga, nieuchwytny, lecz umiejętnie wykorzystujący i podsycający nastroje panujące w królestwie, trzymający się w cieniu i rozsyłający swoich ludzi, żeby podszeptywali, judzili, dmuchali na tlący się żar powszechnego niezadowolenia. Mimo wielu wysiłków, mimo listów gończych i wysyłania skrytobójców Agostisowi wciąż nie udawało się go dopaść.

A potem zaczęli chorować pierwsi dworzanie i przestraszony doktor Straboni poinformował nas, że to nie jest ani dżuma, ani ślepica, ani czarna gorączka, ani żadna inna znana mu choroba. Objawiała się bólami w całym ciele, sztywnieniem karku oraz

wysoką gorączką z majakami i zwykle zabijała w ciągu czterech–pięciu dni.

Nim się obejrzeliśmy, zaniemogła już połowa dworu. Na wyjazd do Nahel-Pey było za późno, baliśmy się, że tylko zawleczemy tam zarazę. Złożyliśmy hojne ofiary duchom podziemnej rzeki, prosząc je o pomoc. Jednak dla naszych buntujących się poddanych epidemia w Nahel-Keris była kroplą, która przelała czarę. W ich oczach stanowiła ostateczny dowód, że Agostis stracił łaskę przodków, jeśli kiedykolwiek ją posiadał.

Obrzęd podziemnej rzeki z moim udziałem odbył się na oczach kilkudziesięciu dworzan; nie było sposobu, by zachować tę sprawę w sekrecie. Zwolennicy Potwora od dawna głosili w swoich oszczerczych pismach, że to, co uczyniliśmy, było bluźnierstwem i umarli zemszczą się na nas obojgu.

Sądzę, że gdyby mój brat mądrze sprawował rządy, wszystko wyglądałoby inaczej. W pewnym sensie to Agostis sam ułożył pod swoimi nogami stos, Potwór jedynie polał go oliwą. Tak myślę, choć może się łudzę. To już i tak bez znaczenia.

Bądź co bądź kiedy stolicę opanowała zaraza, którą lud uznał za widomy znak, że los się od nas odwrócił i umarli pragną nas ukarać, wybuch rebelii był tylko kwestią czasu. Nie wiem jednak, jak dokładnie wyglądał przebieg wydarzeń. Nie umiem powiedzieć, kiedy Agostis opuścił Nahel-Keris, jakie były jego zamiary oraz kiedy Potwór zdecydował się wyjść z ukrycia, żeby objąć dowodzenie nad armią buntowników i poprowadzić ich do boju. Zachorowałam, zanim to wszystko się stało, a gdy leżałam w gorączce, Fraszka mimo próśb i gróźb nie chciała mi przekazywać żadnych wieści, powtarzając, że doktor Straboni zabronił mnie niepokoić.

* * *

Budzę się z płytkiego snu spocona, z wyschniętym gardłem. Z trudem otwieram oczy i widzę nad sobą ciemną postać, ale to nie Fraszka. To doktor Straboni w swoim płaszczu, rękawicach i masce.

– Jak Wasza Wysokość się czuje? – pyta.

– Pić – udaje mi się wychrypieć.

Lekarz wlewa do kubka trochę wody z dzbanka i ostrożnie odmierza do niej dziesięć kropel z fiolki. Dodaje soku malinowego, miesza wszystko starannie, po czym zbliża kubek do moich ust.

Chciwie przełykam pachnący malinami płyn, mimo że jego słodycz nie całkiem maskuje nieprzyjemny smak leku. Potem znów zasypiam i śnię o lecie, o słońcu i zamkowych ogrodach, gdzie motyle trzepoczą nad ukwieconymi klombami, a dworzanie przechadzają się wokół wielkiej fontanny lub siedzą na trawie, śmiejąc się i flirtując. Ale wśród róż stoi postać w czarnym płaszczu z kapturem naciągniętym tak nisko, że twarz niknie w jego cieniu. Pierwsze skojarzenie każe mi pomyśleć, że widzę śmierć – nie boginię Tanathe w szarej sukni, tylko ponurego żniwiarza z ludowych opowieści. Czuję dreszcz na myśl, że już za chwilę jego sierp przetnie nić mojego życia.

Jednak człowiek w czarnym płaszczu nie trzyma w dłoni sierpa. Stoi i patrzy na mnie w milczeniu. I nagle spostrzegam, że w głębi jego źrenic pełgają żółte płomyki.

Odwracam się i widzę, że zamek Nahel-Keris płonie.

Budzę się mokra od potu, z wyschniętym gardłem, ale przytomniejsza, bo lek podany przez doktora Straboniego zbił gorączkę. Za oknem zmierzcha. Sypialnia jest pusta, lecz w sąsiedniej komnacie słychać głosy Fraszki oraz mężczyzny, którego rozpoznaję – to Lesselt, jeden z kamerdynerów. Nigdy go nie lubiłam.

– Armia Potwora dotrze tu przed zachodem słońca – mówi. – Miasto otworzy przed nimi bramy. Zajmą zamek bez walki, bo nie ma komu go bronić, większość gwardzistów zdezerterowała. Nikt nie lubi ginąć za przegraną sprawę.

– Wojsko… – zaczyna odmianka, ale mężczyzna przerywa jej wzgardliwie:

– Wojskami zaciężnymi dowodzi teraz generał Dabaris, a on nie jest głupi. Wycofał oddziały w bezpieczne miejsce i czeka na rozwój sytuacji, to znaczy na moment, gdy siły Wethvooru przekroczą granicę i będzie mógł się oddać pod komendę ichniego

króla, bo nie ufa Potworowi, i słusznie. Mniejsza z tym. Bądź rozsądną dziewczynką i chodź z nami, póki możesz. Księżniczka i tak umrze.

Fraszka mówi coś, czego nie słyszę, na co Lesselt prycha:

– Nie liczyłbym na to. Splądrują zamek i zabiją każdego, kogo tu znajdą.

– Ale ja muszę z nią zostać! – Odmianka podnosi głos.

Kamerdyner odpowiada równie gniewnie. Do sporu włączają się jeszcze inne męskie głosy i w końcu Fraszka daje im się przekonać. Słychać, jak wszyscy wychodzą, a później zapada cisza.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co się stało. Zostałam sama. Zupełnie sama.

Wołam rozpaczliwie, lecz nikt nie odpowiada. Wstaję z trudem i chwiejnie podchodzę do drzwi, ale kolana uginają się pode mną i osuwam się na podłogę. Ponownie wołam o pomoc, ale nikt się nie pojawia.

Ciągle zadaję sobie pytanie, co z Agostisem. Czy słowa Lesselta oznaczają, że mój brat nie żyje? A może uciekł z kraju? Co, na duszę naszego ojca, dzieje się za murami zamku? Leżąc na kosztownym dywanie, z płaczem przeklinam swoją chorobę, swoją niewiedzę i swoją bezsilność.

Po jakimś czasie udaje mi się dźwignąć na nogi i dowlec z powrotem do łoża. Opadam bez sił na posłanie, wpełzam pod skłębioną kołdrę. Przegrawszy bitwę z własną słabością, w rozpaczy znów zaczynam się modlić do duchów podziemnej rzeki, błagając o pomoc, ale umarli milczą.

Godziny mijają, pełznąc nieznośnie wolno, aż w końcu ponownie osnuwa mnie obezwładniająca pajęczyna snu. Śni mi się, że Agostis i ja znów jesteśmy mali, nasz ojciec żyje i stoimy razem z nim na murach zamku o zmierzchu w Święto Latarń. Pada śnieg, w dole widać falujące morze światełek, a zebrany tłum wiwatuje na naszą cześć. Potem na niebie zaczynają rozbłyskiwać fajerwerki, coraz większe, bajecznie kolorowe. Huk wybuchów jest zaskakująco głośny, wstrząsa murami. Aż w końcu się budzę.

Słyszę wystrzały i krzyki, a potem znowu huk. Ściany komnaty drżą, z sufitu sypie się tynk. Przypominam sobie, co powiedział Lesselt, i zaczynam się bać.

I wtedy z korytarza słychać przybliżające się szybko kroki. Męskie kroki. Zamieram. Drzwi mojej sypialni się otwierają i wchodzi człowiek w ciemnym podróżnym stroju, w ubłoconych jeździeckich butach. Otwieram usta do krzyku, choć wiem, że nikt nie przybiegnie mi na pomoc – lecz wtedy przybysz odwraca się ku mnie i rozpoznaję jego twarz. Ogarnia mnie zdumienie, a zaraz potem nowa fala strachu, tym razem o niego.

– Jestem chora! – Dźwigając się na łokciach, ostrzegawczo unoszę dłoń. – Nie podchodź!

– Proszę się nie obawiać, Wasza Wysokość – odpowiada Luce Haspell. – Nie zarażę się. Znam tę chorobę, przeszedłem ją w Othlonie jako chłopiec.

Podchodzi, by położyć mi dłoń na czole. Gapię się na niego oniemiała. Na twarzy ma smugi sadzy i kilka świeżych skaleczeń, na kaftanie plamy krwi, ale raczej nie własnej.

– Musimy uciekać – mówi. – Buntownicy właśnie wdzierają się na zamek, wysadzili bramę, której nikt nie bronił. Dowodzi nimi Potwór we własnej osobie.

Pomaga mi wstać, lecz słaniam się na nogach. Siadam na łożu.

– Jestem za słaba, nie dam rady iść – szepczę.

Luce chwyta stojący na stoliku pucharek i nalewa do niego wody z karafki, po czym wytrząsa tam kilka kropel z fiolki, którą wyciągnął z kieszeni.

– Proszę to wypić. Szybko, nie ma czasu! – ponagla, widząc, że się waham.

Biorę głębszy oddech i przełykam gorzki płyn, który pali w gardle jak wódka. Prawie natychmiast czuję rozchodzące się po ciele ciepło i przypływ energii. Przestaje mi się kręcić w głowie, myśli się wyostrzają i pomału dociera do mnie, że… tak, nie mam zwidów, Luce Haspell naprawdę tu jest. Przyszedł mnie uratować. O ile zdoła.

W mojej głowie aż huczy od natłoku pytań, ale wszystkie będą musiały poczekać.

Luce pomaga mi włożyć na nocną koszulę peniuar oraz podszytą łabędzim puchem pelerynkę, która wisiała przy gotowalni. Przynosi pierwsze lepsze pantofelki, jakie znalazł – balowe, z błękitnego jedwabiu, wyszywane perłami. Wkłada mi je i zapina klamerki. Brakuje czasu, by szukać pończoch oraz bardziej odpowiedniego obuwia.

– Chodźmy, Wasza Wysokość – mówi, podając mi ramię. – Prędko!

Lek podziałał, podtrzymywana przez Haspella jestem już w stanie iść. Boję się, ale jestem córką mojego ojca, więc zaciskam zęby i tłumię strach.

Gdy skradamy się korytarzami, Luce bez wahania wybiera drogę. Zewsząd dobiega zgiełk – okrzyki, wystrzały, szczęk broni. Skądś napływa dym, jest go coraz więcej. Cuchnie siarką, sprawia, że oczy pieką i łzawią. Przez okno widzę czerwone odblaski tańczące w szybach sąsiedniego skrzydła. Zamek płonie.

Kręci mi się w głowie mimo wypitego leku. Nie wiem, jakim cudem daję radę utrzymać się na nogach, chyba tylko obecność Haspella dodaje mi sił.

– Dokąd idziemy? – pytam szeptem, ale Luce mnie ucisza, rozglądając się czujnie.

Zza rogu słychać przybliżające się okrzyki, tupot stóp. Chowamy się za zasłoną i czekamy, wstrzymując oddech, aż grupka buntowników się oddali. Dopiero wtedy ruszamy dalej.

Na schodach mijamy zakrwawione zwłoki służącego. W jego piersi zieje rana, z ciała zdarto buty i część odzieży. Nagle potężny huk wstrząsa murami, słychać brzęk szyb. Pożar chyba dotarł do prochowni.

Gdy zbliżamy się do apartamentów księżnej Tal-Dorre, Luce znów ostrzegawczo kładzie palec na ustach. Z wnętrza dolatują okrzyki tłuszczy rabującej co się da. Zdzierają brokatowe zasłony, wyciągają ze skrzyń suknie warte tysiące dukatów. Ogarnięci bezrozumną żądzą niszczenia łamią meble, tłuką lustra i tną nożami olejne portrety.

Nie widzą nas.

Skręcamy w korytarz prowadzący do wschodniego skrzydła. Przed wejściem do pałacowej biblioteki leżą zwłoki gwardzisty z głową rozpołowioną ciosem topora, a kawałek dalej kolejne ciało. To doktor Straboni. Na wypolerowanym parkiecie krzepnie wielka kałuża krwi.

Dymu przybywa z każdą chwilą. Kaszlę, krztuszę się, łzy lecą z oczu, oddech więźnie w gardle.

Daleko z tyłu słyszę chrapliwy okrzyk – dostrzeżono nas! Luce szarpie mnie za rękę, skręcamy za róg. Potykam się, omal nie gubiąc tych idiotycznych pantofelków. Nie mam pojęcia, co Haspell planuje, czy w ogóle ma jakikolwiek plan.

Wbiegamy do mniejszej sali narad. Mój towarzysz wsuwa dłoń za zwierciadło, którego ramę zdobią pozłacane głowy gryfów, wciska zapadkę. Wiszący na przeciwległej ścianie portret mego pradziada obraca się, odsłaniając otwór, z którego wionie chłodne, zalatujące stęchlizną powietrze.

– Tędy.

Luce ujmuje mnie za rękę i wprowadza do środka. Szybkim ruchem zwalnia mechanizm, aby ukryte drzwi zatrzasnęły się za nami. Zapada ciemność, ale na szczęście rozjaśnia ją chwiejna żółta poświata. W niszy stoi latarnia o lekko okopconych szybkach; gruba świeca w jej wnętrzu zdążyła się wypalić może w jednej trzeciej.

– Ty ją tu zostawiłeś? – pytam szeptem. – Dokąd prowadzą te schody?

– Do kawerny z podziemną rzeką – odpowiada równie cicho Luce. – To tajne zejście, wie o nim tylko kilka osób.

Opieram się o ścianę, żeby chwilę odpocząć, wyrównać oddech. Czuję znajomy ból w całym ciele, falę słabości i lodowate dreszcze. Widząc, że dygoczę i szczękam zębami, Luce otula mnie swoim płaszczem.

– Z kawerny nie ma wyjścia – mówię. – Nie da się tamtędy uciec… Chyba że o czymś nie wiem.

– Czeka tam sprzymierzeniec – odpowiada enigmatycznie Luce, a ja nie mam siły pytać, o kim mówi.

Bierze latarnię, otacza mnie mocno ramieniem i zaczynamy schodzić. Mam wrażenie, że schody ciągną się w nieskończoność.

Daleko nad nami, za nami – strzały, wybuchy, krzyki, rumor walących się murów.

Gdy wreszcie docieramy do kawerny, kolana uginają się pode mną. Cała dygoczę, szczękam zębami, ale Luce podtrzymuje mnie, zabezpieczając przed upadkiem.

– Jeszcze kawałek, Wasza Wysokość – szepcze. – Jeszcze kilka stopni.

Schodzę chwiejnie, wczepiając się w niego (wytrzymać, wytrzymać…), aż raptem słyszę plusk i moja stopa ląduje w lodowatej wodzie.

– Nie – szepcze Haspell. – Nie, niech Wasza Wysokość wyjdzie z wody. – Wyciąga mnie na brzeg i pomaga usiąść na kamieniu.

A potem… potem wydarzenia przybierają zupełnie nieoczekiwany obrót.

– Zdaje się, że chwilowo jesteśmy bezpieczni – mówi obcy, schrypnięty głos.

Gwałtownie odwracam głowę. W ciemności zapalają się dwa rozjarzone żółte punkty. Kocie źrenice.

I nagle w mojej głowie odzywają się szepty umarłych, cały chór.

Z mroku wyłania się szczupły, niepozorny mężczyzna w odzieniu koloru nocy. Gapię się na niego oniemiała. Świecące źrenice mówią wszystko: to czarny mag, jeden z tych nieszczęśników, którzy samym swym istnieniem kalają oblicze świata i zakłócają jego równowagę. Tak przynajmniej jest napisane w Świętej Księdze.

A duchy podziemnej rzeki szepczą, że już znam tego człowieka. Gdy ostatnio go widziałam, był jednym z przybocznych ambasadora Camarry. Posługiwał się nazwiskiem Drey.

Spokojny pan Drey, znany głównie z tego, że grywa na flecie i często bywa sekundantem w pojedynkach, ale nigdy nie pojedynkuje się sam. Kto by pomyślał.

Gdyby nie podpowiedź umarłych, nie rozpoznałabym go. Kiedy przebywał na dworze, miał szpakowate kędziory do ramion, bladą cerę i duże brzydkie znamię na policzku. Teraz odmłodniał, jego

skóra przybrała śniady odcień, a miejsce znamienia zajęły trzy ukośne szramy, jak od noża lub pazurów.

Duchy zapewniają, że to on, podsuwając mi wspomnienie z tamtej feralnej uczty: moment, kiedy oniemiali goście gapili się na mnie, Agostisa i spopielone truchło niedoszłego zamachowca. I tylko pan Drey – pamiętam to wyraźnie – siedział przy stole zgarbiony, z przymkniętymi oczami, jakby chciał sobie oszczędzić widoku, a w rzeczywistości odpoczywając po nadludzkim wysiłku.

A więc to on uratował nam wówczas życie, bo trudno przypuszczać, by ambasador miał w swojej świcie dwóch czarnych magów.

Czy teraz przybył tu przysłany przez Ferehila z Camarry? Ale co może zdziałać jeden człowiek przeciw całej armii Potwora?

Raptem dociera do mnie, jak niewiele wiem o czarnych magach. Opowiadano mi, że karmią się cierpieniem i prędzej czy później popadają w szaleństwo, bo przeklęta moc spala ich od środka. Ale ten ciemnowłosy, śniady mężczyzna z bliznami na twarzy wydaje się najzupełniej zdrów na umyśle. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Lekko, symbolicznie skłania głowę. Obyczaj nie przewiduje, by magowie, niezależnie od barwy, składali pokłony przed władcami jak zwykli śmiertelnicy.

– Wasza Wysokość – mówi – żałuję, że spotykamy się ponownie w tak niefortunnych okolicznościach.

Nie znajduję słów, aby go powitać zgodnie z etykietą.

Czarny, przeklęty mag. *Ka-ira*. Żmij.

Powinnam zapytać, jakim prawem bezcześci swoją obecnością święte miejsce, ale powstrzymuje mnie świadomość, że gdyby duchy podziemnej rzeki nie chciały go tutaj widzieć, już by nie żył. Każde dziecko wie też, że nie należy pochopnie obrażać magów.

– Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie – odzywam się w końcu, usiłując brzmieć godnie, choć w zmiętej koszuli nocnej, peniuarze i balowych pantofelkach, z włosami w nieładzie, jest to znacznie trudniejsze niż w dworskich szatach.

– Proszę o wybaczenie – mówi – ale nie mamy teraz czasu. Luce, jak wygląda sytuacja na górze?

– Hołota Potwora plądruje pałac – odpowiada Haspell. – Wzniecili pożar, wschodnie skrzydło płonie.

W mojej głowie znów odzywają się głosy duchów. Szepczą uspokajająco, wyjaśniając, że czarny mag jest tutaj za ich sprawą i wie, co robić. Powoli zaczyna do mnie docierać, że najwyraźniej umarli zareagowali na moje błagania o pomoc, choć nie wiem, czy nie za późno. Jeśli nie dla królestwa, to w każdym razie za późno dla mnie.

Czuję, że po wyczerpującym zejściu tutaj ogarnia mnie coraz większa słabość. Po skórze pełzają mi niewidzialne mrówki, na przemian gorące i lodowate. Wzdrygam się, gdy *ka-ira* kładzie mi rękę na czole. Musi być rozpalone, bo jego dłoń wydaje się chłodna.

– Wasza Wysokość, obawiam się, że muszę przekazać złe wieści. Jego Królewska Mość Agostis I nie żyje – mówi z powagą.

Skinieniem dłoni daje znak Haspellowi, a ten podchodzi z latarnią, by oświetlić ciało leżące na brzegu rzeki.

Zwłoki mojego brata, w poszarpanej, zakrwawionej odzieży. Zamieram w zgrozie na widok jego posiniałej twarzy.

Zginął z rąk agentów Potwora kilkanaście mil od Nahel-Keris – szepczą duchy w mojej głowie. – *Wracał tu wraz z oddziałami generała Dabarisa, chcąc przeciąć drogę siłom rebeliantów, ale nie zdążył. Popełniliśmy błąd, Kahlio. Zbyt długo pozostawaliśmy bierni, zbyt późno włączyliśmy się w bieg wydarzeń.*

Momentalnie nabieram podejrzeń, że nie mówią prawdy; że z rozmysłem interweniowali wtedy, kiedy uznali za stosowne. Ta myśl sprawia, że czuję chłód w brzuchu.

Cienie strzegą tronu Naheli, nie rodu Tal-Abri. Kierują się dobrem Naheli. Przypuszczenie, że umarli wprawdzie nie dopomogli losowi, ale świadomie nie uczynili nic, by zapobiec śmierci mego nieszczęsnego brata, wydaje się nieubłaganie logiczne. Zaniechanie działania też jest działaniem.

Nie wyjaśnia to jednak, jakim sposobem jego ciało znalazło się tu, w podziemnej kawernie. I dlaczego.

– Użyłem portalu – wyjaśnia pan Drey w odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałam. – Duchy zażądały, żeby sprowadzić

tu jego ciało. To pozwoli otworzyć wrota między światami. Śmierć króla Naheli pociągnie za sobą… konsekwencje.

A w głowie słyszę, jak umarli syczą głosami przywodzącymi na myśl skwierczenie oleju w sali tortur:

Zadbamy o to, żeby winni ponieśli karę.

Brzmi to dziwnie i niepokojąco, ale nie mam już siły dociekać szczegółów. Dygoczę od dreszczy, powieki ciążą mi jak młyńskie kamienie. Walczę z sobą, żeby po prostu nie oprzeć głowy o kolana i nie zapaść w sen, z którego – wiem to – już się nie obudzę. Ale jestem córką mojego ojca, więc znajduję w sobie siłę, żeby zadać żmijowi jedno jedyne pytanie:

– Wypełniasz rozkazy Ferehila z Camarry?

– Nie, Wasza Wysokość – odpowiada, patrząc mi prosto w oczy. – W tej chwili wykonuję jedynie wolę umarłych.

A głosy w mojej głowie potwierdzają, że mówi prawdę.

Pan Drey tymczasem wyciąga z zanadrza kartę papieru nutowego z zapisaną melodią oraz słowami. Wręcza ją Haspellowi.

– Zaśpiewaj to – mówi. – To zaklęcie, które ją wyleczy.

– Ja? – pyta zdumiony Luce. – Ale czemu?

– Czerń nie uzdrawia – wyjaśnia spokojnie pan Drey. – Mogę napisać taki czar, ale nie mogę go uaktywnić, rozumiesz?

– A niby w jaki sposób ja mam sprawić, żeby to zadziałało? – mruczy gniewnie Haspell. – Zwariowałeś? Nie mam pojęcia o magii!

Żmij kładzie mu rękę na ramieniu.

– Kochasz ją – mówi cicho. – Zadziała.

Oboje z Haspellem zamieramy, gapiąc się na niego tak, jakby nagle wyrosła mu druga głowa.

Luce otrząsa się pierwszy. Unosi kartę, przechylając ją tak, żeby móc w słabym świetle odczytać, co jest na niej napisane. Po chwili zaczyna śpiewać w nieznanym mi języku, tak cicho, jakby nucił kołysankę.

* * *

Nie wiem, co napiszą kronikarze, czy w ogóle będą potrafili ująć w słowa to, co się wydarzyło tamtej nocy po tym, jak zaklęcie zaśpiewane przez Haspella uleczyło mnie z zarazy, a zwłoki mego brata zatonęły w czarnej toni.

Ka-ira otworzył swymi czarami przejście do szarego wymiaru, gdzie bytują umarli, i duchy podziemnej rzeki objawiły się jako niszczycielska armia, niesiona lodowatym wiatrem powódź cieni. Zgasiły pożar, a potem rozprawiły się z Potworem i jego buntownikami szybciej, niż przypływ obala zamki z piasku.

Patrzyłam na tę rzeź, lecz brakuje mi słów, żeby ją opisać. Widzieliście kiedyś mgłę, która skrywa tysiące niewidzialnych szponów? Dym zdolny rozszarpać człowieka na strzępy?

Żaden z tych, którzy plądrowali Nahel-Keris, nie uszedł z życiem.

Następnego dnia generał Dabaris wkroczył ze swymi wojskami do stolicy, żeby powitać mnie jako prawowitą władczynię. Wcześniej jednak, tuż po bitwie, w opustoszałym pałacu wydałam dwa rozkazy. Tylko umarli wiedzą, ile kosztował mnie drugi z nich.

* * *

Nazywam się Kahlia. Kahlia z rodu Tal-Abri. Niekoronowana królowa Naheli.

Jeszcze nie całkiem dotarło to do mojej świadomości.

Nieco chwiejnym krokiem idę przez opustoszałe korytarze pałacu, z bólem serca robiąc w myślach listę zniszczeń. Parkiety w wielu miejscach plami krew; tu i ówdzie leży porzucona broń, czapki, części odzieży, ale nie widać ani jednego martwego buntownika. Umarli porwali cały swój obfity łup w zaświaty.

Jest mi zimno i dziwnie. Bałabym się ciszy, która zaległa w opustoszałych komnatach, bałabym się czarnego maga mimo świadomości, ile mu zawdzięczam, lecz szepty w głowie uspokajają. *Jesteśmy z tobą, Kahlio, córko królów* – szepczą.

Niosący latarnię Luce Haspell nie odstępuje mnie na krok, ale nic nie mówi. Jest sto pytań, które chciałabym mu zadać, lecz to

nie pora na rozmowy. Muszę oszczędzać siły. Mimo zaklęcia, które mnie uzdrowiło, i mimo drugiej dawki wzmacniającego eliksiru czuję, że powinnam się położyć; nikt nie jest zdolny do wysiłku po tygodniach leżenia w chorobie. Na razie jednak twardo trzymam się na nogach, ignorując słabość.

Pan Drey prowadzi nas do sali tronowej, gdzie na marmurowej posadzce widnieją wiele mówiące czerwone kałuże i zacieki. Tu i ówdzie leżą trupy gwardzistów. W powietrzu wisi zapach spalenizny, którego ciągnący od rozbitych okien zimny powiew jeszcze nie zdążył rozproszyć.

U stóp tronu dostrzegam ciemny kształt, nieruchomą sylwetkę.

– Wasza Wysokość – mówi cicho żmij – proszę tu podejść.

Podchodzę wolno, pełna złych przeczuć. Luce unosi latarnię, a gdy żółta poświata pada na twarz zabitego, staję jak wryta.

Potwór.

Nigdy go nie widziałam, ale to może być tylko on. Spoczywa przed samym tronem rodu Tal-Abri, powalony w chwili, gdy – jak sądził – odniósł triumf. Połamane nietoperze skrzydła sterczą bezwładnie, krew w wielu miejscach zlepia długą, zmierzwioną sierść.

Twarz miał ludzką, zwyczajną. Nawet teraz, gdy jest wykrzywiona w okropnym grymasie przerażenia, w jej rysach rozpoznaję rodzinne podobieństwo. Coś znowu ściska mnie w gardle na wspomnienie martwego Agostisa znikającego w wodach czarnej rzeki.

– Umarli pozostawili jego ciało – ciągnie mag – bo uważają, że jego głowa powinna przyozdobić główną bramę zamku.

Klękam, aby spojrzeć w oczy Potwora – wybałuszone strachem, błyszczące w świetle latarni. Nie zdążyły jeszcze zmętnieć. Wyciągam rękę i zamykam mu powieki.

Wiem, co się robi ze zwłokami zdrajców. Ale to jest syn mojego ojca i nikt nie będzie bezcześcił jego ciała, wszystko jedno, w imię jakiej racji.

– Nie – mówię – nie, trzeba go po prostu pochować.

Szepty w mojej głowie nagle przemieniają się w gniewny zgiełk, a potem w sali tronowej pojawiają się mgliste zarysy sylwetek.

Najwyraźniej nie wszyscy umarli powrócili do szarej krainy, wykonawszy swoje zadanie.

Cienie podpływają bliżej, otaczając nas kręgiem. Wyraźnie słyszę, co syczą.

Trzeba to zrobić, Kahlio. Niech twoi poddani zapamiętają, że każdy, kto podnosi rękę na prawowitych władców Naheli, zginie, choćby w jego żyłach płynęła krew tychże władców.

Prostuję się, tocząc naokoło stanowczym spojrzeniem. Nie boję się umarłych. Nie zrobią mi krzywdy. Nie oni tu rządzą, lecz ja.

– Nie godzi się naruszać majestatu śmierci – oznajmiam głośno. – Kto jak kto, ale wy powinniście to uszanować. Ocaliliście mi życie, ale teraz to moje słowo jest tutaj prawem. Zostawcie nas.

I umarli milkną. Kłaniają się pokornie, po czym rozpływają w powietrzu.

– Trzeba go pochować – mówię ponownie, zwracając się do żmija. – Magu, dopilnujesz, aby mu urządzono pogrzeb. Szybko i dyskretnie.

Ciemnowłosy *ka-ira* ponownie skłania przede mną głowę. W jego głosie słyszę nutę szacunku i aprobaty, gdy odpowiada:

– Tak, Wasza Królewska Mość.

* * *

Zachodnia Wieża szczęśliwie uniknęła zniszczeń. Tłuszcza nie zdążyła się tutaj wedrzeć i splądrować moich komnat.

Tuż po tym, jak armia cieni wykonała swoją krwawą robotę, zdawało się, że w całym Nahel-Keris nie ma żywej duszy. Jednak teraz, niespełna trzy godziny później, na korytarzach zaczynają już rozbrzmiewać przestraszone głosy. Garstka starszych służących, którzy nie czuli się na siłach uchodzić pieszo, więc ukryli się w pobliżu zamku, odważyła się wrócić w pierwszej kolejności. Inni nie uciekli daleko, w tym pewna liczba gwardzistów, którzy nie uznali za stosowne trwać na posterunku do końca, i też już wracają.

Krótka drzemka nie przywróciła mi sił, ale nie mogę teraz pozostawić spraw ich biegowi. Ktoś musi przejąć kontrolę nad

sytuacją. Z całą pewnością nie pozwolę, żeby przejął ją czarny mag. Poświęciłam tylko chwilę, żeby napić się wody z miodem, zjeść kawałek chleba i ubrać się stosowniej. Królowa nie powinna wydawać rozkazów w koszuli nocnej.

Trochę trwało, nim znalazłam strój dający się włożyć bez pomocy garderobianych. W końcu wychodzę do antykamery w sukni do konnej jazdy, z włosami zwiniętymi w węzeł i upiętymi na karku. Już układam sobie w głowie słowa, jakimi oznajmię poddanym, że król Agostis I nie żyje.

Gdy jednak napotykam spojrzenie Haspella, wszystkie moje myśli pierzchają, a ich miejsce zajmuje pustka.

Jesteśmy sami. Luce spogląda na mnie bez słowa, może oczekując poleceń, a do mnie dopiero teraz zaczyna docierać, na ile pytań nie znam odpowiedzi. Nie wiem, jak to się stało, że przybył, by mnie ocalić, kiedy armia Potwora plądrowała zamek. Gdzie i kiedy poznał czarnego maga, którego umarli uczynili wykonawcą swojej woli. Nie wiem, gdzie jest teraz Selike, czy żyje, czy może zmarła na zarazę. Nie wiem tylu rzeczy. I już się nie dowiem.

Spuszczam wzrok.

– Wyjedź – mówię cicho, ale bez drżenia w głosie. – Wyjedź i nigdy tu nie wracaj.

Królowe miewają kochanków, ale nie wyobrażam sobie… Nie chciałabym tego, nie zniosłabym życia w kłamstwie, w skrywanym wstydzie, cuchnącym jak maść dziegciowa pod jedwabnymi rękawiczkami. Wiem, że on też nie.

– Wasza Królewska Mość… – zaczyna Luce, ale milknie. Milczy przez dłuższą chwilę, a ja nie podnoszę wzroku, bo wiem, że jedno spojrzenie w jego szare oczy zrani mnie głębiej niż strzały i miecze.

Nagle podchodzi i obejmuje mnie mocno, na chwilę przytulając twarz do mojej twarzy, a potem odwraca się na pięcie i prędko wychodzi z komnaty. Słyszę oddalający się stukot jego kroków na schodach, aż w końcu zapada cisza.

Nadal stoję bez ruchu.

Wiem.

Wiem, że Luce Haspell usłucha mojego rozkazu. Że nigdy nie wróci do Nahel-Keris, aby nie łamać serca sobie i mnie, aby dwa czyste cięcia mogły się zagoić z czasem. Abym mogła poślubić Ferehila z Camarry lub kogoś innego, jeśli dobro królestwa będzie tego wymagało. Zostanie mi tylko wspomnienie pieśni, która mnie uzdrowiła, oraz naszego pożegnania; wspomnienie, które do końca życia będę musiała nosić w głowie wraz z szeptami nieżyjących królów i wielmożów Naheli.

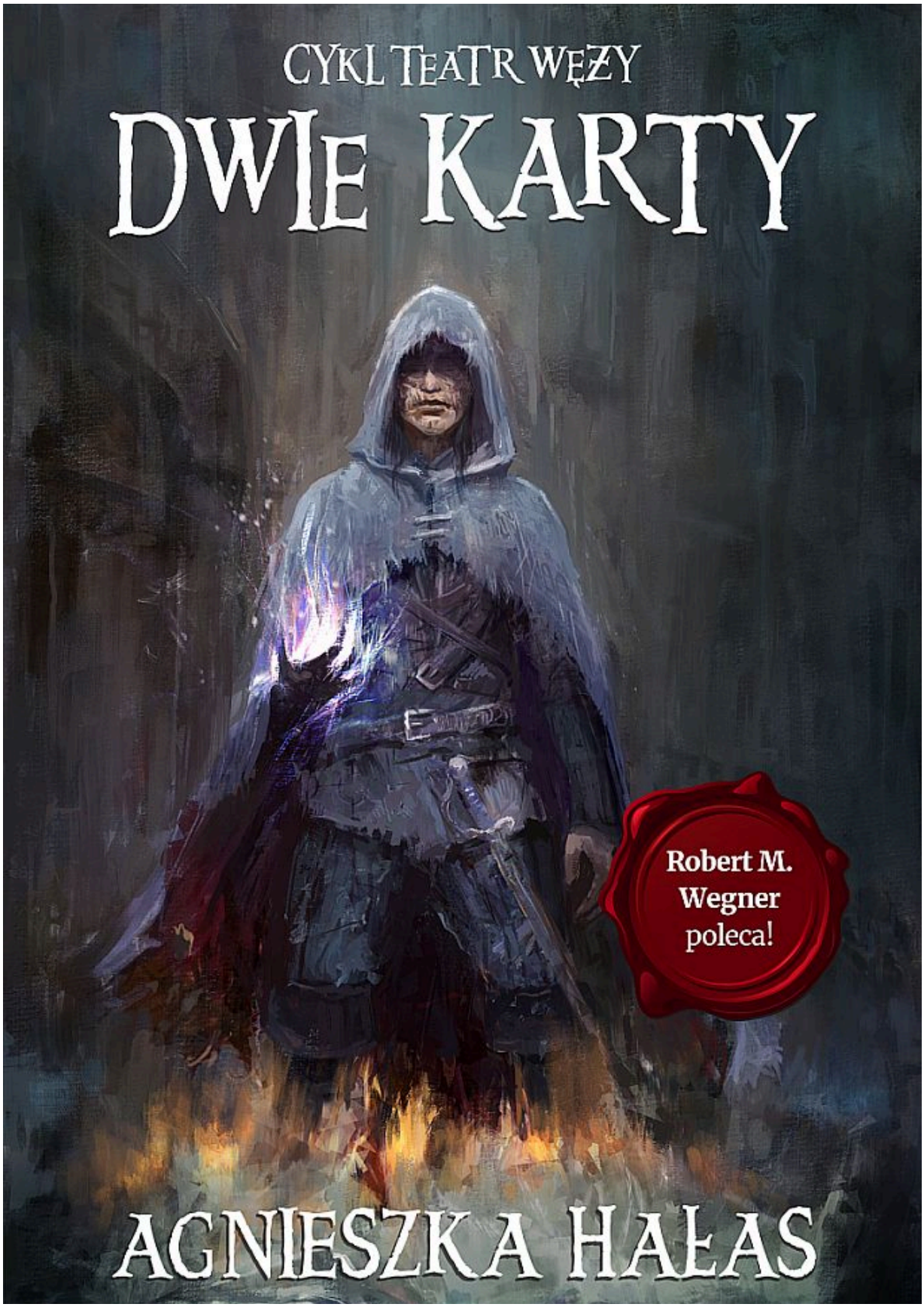
CYKL TEATR WĘŻY
DWIE KARTY
Robert M. Wegner poleca!
AGNIESZKA HAŁAS

CYKL TEATR WĘŻY

DWIE KARTY

POŚRÓD CIENI

W MOCY WICHRU

AGNIESZKA HAŁAS

CYKL TEATR WĘŻY

DWIE KARTY

Tom I

Dom Wydawniczy REBIS

Wstęp

Pisanie wstępu do książki to ciężka robota. Właściwie można to zrobić tylko z perspektywy czytelnika, który ma za sobą własne wrażenia, garść przemyśleń i tego czegoś, co każda dobra książka zostawia nam w sercu. Ale gdy poproszono mnie, bym napisał kilka słów wstępu do tej książki, ucieszyłem się jak diabli. Od razu przypomniałem sobie Krzyczącego w Ciemności, którego pierwszy raz spotkałem w śp. Fenixie, przy czym nie mam tu na myśli banalnego wspomnienia o jakiejś tam postaci, którą piąte przez dziesiąte kojarzę z jakimś cyklem fantasy. Nie. Brune Keare zapadł mi w pamięć tak jak Kane z cyklu Wagnera, Ged z Ziemiomorza, Karenira z Grombelardu czy ten cholerny Geralt Riv. Był charakterystyczny, tajemniczy, mroczny i bezwzględny, ale też na swój sposób honorowy i uczciwy. I od samego początku, gdy spotkałem go w mrocznych podziemiach zamieszkanych przez złodziei, bandytów, odmieńców, ludzi skażonych i odepchniętych przez „lepszą" część świata, od pierwszego spojrzenia budził zaciekawienie i chęć poznania jego historii.

Pamiętam, jak przyszedł do mnie w gości, rozsiadł się i zaczął snuć swoją opowieść.

A tylko z pozoru była to zwykła historia, jakich wiele. O bogach, którzy walcząc w obronie świata, przelali zbyt wiele krwi i stracili serce dla swoich dzieł, o Zmroczy, którą podarowali porzuconemu światu, by chroniła go przed tymi, którzy chętnie wzięliby w posiadanie taki leżący odłogiem skarb – duchami, demonami, żywiołakami i innymi bytami, oraz o magii, srebrnej i czarnej – dwóch szalach wagi, które muszą pozostawać w równowadze, jeśli świat ma ocaleć.

I była to też historia o ludziach, a może właśnie przede wszystkim o ludziach i o tym, jak potrafią każdą rzecz spieprzyć.

Polubiłem drania za to, że nie rozczulał się nad sobą, nie udawał kogoś, kim nie jest, że był naturalny i niezmanierowany, co jest grzechem większości postaci literackich, którym twórcy usiłują nadać rys „prawdziwości", oraz za to, że kierował się swoim własnym, prywatnym kodeksem. I nie przeszkadzała mi ani jego oszpecona gęba, ani tajemnicza przeszłość, ani mrok, który go otaczał.

Bo Krzyczący w Ciemności przyszedł do mnie jako czysta karta, ktoś bez przeszłości, z pamięcią wymazaną tak dokładnie, że można by na tej bieli wyrysować dowolny obraz – bohatera, zdrajcy, łotra albo świętego – i zarazem przyszedł jako postać z krwi i kości, żywa, czująca, budząca zaciekawienie – jako człowiek jednym słowem. A to wielka sztuka narysować kilkoma zdaniami kogoś, kto jest człowiekiem, choć nie wiemy o nim nic poza tym, że jest, żyje i cierpi.

Brune tylko na pierwszy rzut oka wydaje się archetypem mrocznego twardziela z zasadami, któremu można bez wahania pożyczyć pieniądze, tak jak świat stworzony przez Agnieszkę Hałas tylko na pierwszy rzut oka wydaje się prostym światem z podziałem na pozornie dobrą srebrną magię i zepchniętą do defensywy, poddaną czarnemu – nomen omen – PR-owi czerń. Ten świat ma zbyt wiele odcieni, zbyt wiele subtelnych, często zaznaczonych ledwo kilkoma słowami barw, by dało się go łatwo zaszufladkować. Tętni bogactwem niczym Baśnie z tysiąca i jednej nocy, zadziwia patentami rodem ze steampunku, igra z demonologią z różnych stron świata i z różnych czasów. I wszystko to znakomicie ze sobą współgra. Magowie, demony, istoty z innych planów egzystencji, żywiołaki i zwykli ludzie poruszają się w nim w skomplikowanym tańcu, do którego przygrywa im orkiestra mająca zamiast nut plansze ze skomplikowanymi wykresami nie tylko ludzkiej ambicji, chciwości, podłości i obłudy, ale też – choć rzadziej – miłosierdzia, uczciwości i prawości. Nic tu nie jest takie, jakie mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, a kto spróbuje użyć do

odnalezienia się w tym świecie prostych schematów, takich jak dark fantasy, będzie regularnie czuł się zbity z tropu.

I o to właśnie chodzi. To wyróżnik opowieści przez duże „O", wymykającej się schematom, zmuszającej do koncentracji, lecz jednocześnie zapadającej w pamięć i pozostającej z nami długo po zamknięciu książki. Podskórnie czujemy, że autorka zabrała nas do świata podobnego do naszego, gdzie dylematy moralne nie sprowadzają się do banalnego wyboru między jasną a ciemną stroną mocy. Tutaj każdy zysk okupiony jest czyjąś stratą, łatwo jest przegrać wszystko, trudno wspiąć się na szczyt, a szczeble społecznej drabiny są śliskie od krwi i łez. Głębia tego świata nie ogranicza się tylko do metafizycznej Otchłani, w której demony knują swoje intrygi, bardziej dotyka ludzkich dusz i umysłów, bo żadna z postaci nie daje się jednoznacznie sklasyfikować jako dobra czy zła.

I ten świat poznajemy właśnie dzięki Krzyczącemu w Ciemności, postaci na tyle charakterystycznej, że trudno o niej zapomnieć. Spotykamy go jako pozbawionego pamięci wyrzutka i wraz z nim odkrywamy krainy ukryte pod Zmroczą. I dzięki niemu poznajemy innych bohaterów, drugo- i trzecio- planowych, z których niejeden zasługuje na osobną opowieść. Widzimy blichtr, który po zdrapaniu odsłania ropiejące wrzody, piękne maski, zza których wyglądają przeżarte trądem, beznose twarze i bezwzględność udającą prawość. Ten świat jest piękny jak niektóre gatunki egzotycznych kwiatów, wabiących przepychem barw i kształtów, lecz gdy się nad nimi nachylić, w nozdrza uderza nas odór zgniłego mięsa. Ale świat ten zasługuje, by go poznać, zanurzyć się w nim, posmakować. Nie jest wydmuszką albo kawałkiem, wybaczcie kulinarne porównanie, ryżowego wafelka, jest mięsisty w najlepszym, literackim znaczeniu tego słowa, oferuje sycącą ucztę, po której zostaje w nas olbrzymia satysfakcja, że nie zmarnowaliśmy czasu.

I chęć ponownych odwiedzin.

Polska fantasy doczekała się kilku znakomitych uniwersów, a świat stworzony przez Agnieszkę Hałas właśnie się do nich zalicza. Żyje, oddycha i krwawi, a my wraz z nim. Nie zadowala

się łatwymi rozwiązaniami ani banalnymi odpowiedziami, zabiera nas w ciekawą i wyczerpującą podróż, z której wracamy oszołomieni lub zniesmaczeni, przybici albo zachwyceni. Ale nie obojętni. A to kwintesencja dobrej opowieści.

Polecam.

Robert M. Wegner

Prolog

Dawno temu światem rządziło dziewięciu bogów.

Władali mocą żywiołów, przemawiali językiem gwiazd, byli potężniejsi od upływającego czasu. To oni powołali do życia pierwszych ludzi, a potem nauczyli ich, jak uprawiać ziemię i wznosić domy. Ofiarowali śmiertelnikom ogień i pismo.

Dawno temu, kiedy świat był młody, panowała w nim harmonia. Wszystkie żywe istoty były posłuszne rozkazom swoich stwórców. Ludzie żyli w dobrobycie, bo ziemia rodziła obfite plony. Budowali bogom świątynie, składali im ofiary, a kiedy umierali, ich dusze ulatywały do świetlistych krain poza gwiazdami.

Lecz nadszedł czas, gdy harmonia została zburzona. Z odległych wymiarów nadciągnęło zło pod postacią potwora, potężnego smoka o wielu głowach. Był on tak wielki, że mógł połknąć słońce i przesłonić niebo. Chciał zniszczyć świat, ponieważ niszczenie stanowiło cel i sens jego istnienia.

Rzucił wyzwanie bogom, a ci podjęli walkę. Wojna trwała przez wiele wieków i żadna ze stron długo nie mogła uzyskać przewagi. Dla ludzkości był to mroczny czas, czas zagłady. Woda w rzekach przemieniła się w krew, morza wystąpiły z brzegów, a z nieba lał się ogień.

W końcu zło zostało unicestwione i świat zaczął powracać do dawnej postaci. Słońce i księżyc zaświeciły na nowo, wody mórz powróciły na swoje miejsce. Z chmur znowu spadł czysty deszcz, a tam, gdzie jego krople wsiąkły w jałową, wypaloną ziemię, wyrosła świeża zieleń. Ocalali ludzie wyszli z ukrycia, by na nowo zasiedlić ruiny wiosek i miast. A gdy na ziemi wszystko powróciło już do dawnego ładu, bogowie poczuli, że są znużeni.

Zapragnęli poszukać ukojenia poza granicami świata. Wiedzieli jednak, że jeśli odejdą, ludzkość pozostanie bezbronna, wydana na łup demonów oraz wszelkich innych wrogich sił, jakie mogą nadciągnąć z głębin nieskończoności. Dlatego postanowili przekazać śmiertelnikom w pożegnalnym darze cząstkę własnej boskiej mocy.

Ze światła i ciemności, z ognia i wody, piasku i wiatru utkali Zmroczę, Sha'r; następnie zaś tchnęli w nią życie, aby odtąd osłaniała materialny świat, oddzielając go od sfer zamieszkanych przez duchy, larwy i żywiołaki. I ofiarowali ludziom magię, która bierze swój początek ze Zmroczy, tak jak roślina wyrasta z ziemi.

Dziś to my, śmiertelnicy, jesteśmy strażnikami tajemnic stworzenia, a wybrani spośród nas władają mocą równą boskiej. Są dwie barwy magii, srebro i czerń. Magowie rozkazują żywiołom, podróżują do świata snów i przepędzają demony.

Lecz na początku, u zarania dziejów, ludzkość nie znała magii, światem rządziło bowiem dziewięciu bogów, którzy stali na straży wszystkiego, co piękne i dobre. A imiona ich brzmiały: Haran, Eresh, Araya, Leleya, Proserpis, Merauke, Ilmar, Sabel i Tanaya.

Święta Księga, wstęp do *Starych Kronik*

Dwie są barwy magii. Srebro i czerń.

Na początku było srebro. Srebro pochodzi od bogów i celem jego jest doskonałość.

Lecz tak jak światło rzuca cień, tak ze srebra zrodziła się czerń. Za sprawą demonów, dzieci chaosu, dar bogów został skażony. Słuchajcie moich słów: oto światło zostało wydane na łup ciemności. Czerń budzi się w duszach ludzi i przemienia ich w swoje narzędzia.

Przeklęty niech będzie duch zatruty przez nią, skazany, by odradzać się wciąż na nowo i w każdym ze swych wcieleń czynić zło. Nie będziecie mieli litości nad tymi, w których obudził się czarny dar, ponieważ zagrażają oni boskiemu dziełu stworzenia.

Święta Księga, Księga Skazy

1. Królowa cierni

Pełgający płomyk kaganka oświetlał ponure wnętrze celi i mężczyznę, który siedział na pryczy z pochyloną głową.

Jaspin Souret, szlachcic, erudyta i znawca nauk ścisłych, absolwent słynnej akademii w Ri Talma, popełnił w życiu kilka poważnych błędów.

Młody i ambitny, chciał zrobić karierę w środowisku dworskim i wpadł w pułapkę życia ponad stan, a później zakochał się w kurtyzanie, która zrujnowała go do reszty. Wtrącony do więzienia za długi, zdołał uciec za granicę i rozpocząć nowe życie pod przybranym nazwiskiem. Skuszony wizją błyskawicznego zdobycia majątku, zajął się fałszowaniem pieniędzy. Interes z początku szedł kwitnąco, ale po dwóch miesiącach Soureta wsypał zazdrosny wspólnik.

Kara śmierci przez zanurzenie we wrzącym oleju, poprzedzone łamaniem kości i szarpaniem ciała rozpalonymi obcęgami, nie stanowiła miłej perspektywy. Nawet jeśli pogrążone w śmierdzącej ciemności więzienie przywodziło na myśl otchłanie piekieł. W ciągu miesiąca, oczekując na proces, Souret wychudł, zęby zaczęły mu się chwiać, a z brudu nabawił się wrzodów w różnych nieciekawych miejscach. Czuł się żałosny jak ostatni nędzarz.

Od wilgotnych murów odbijało się echem podzwanianie łańcuchów oraz jęki chorych. W izbie na przeciwległym końcu korytarza dozorca i jego pomocnik grali w karty, klnąc co drugie słowo.

Jaspin wpatrywał się w tatuaż na przedramieniu. Przed wtrąceniem do lochów strażnicy obszukali go i obdarli ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Jednak rysunek na

skórze nie zwrócił ich uwagi. Był przecież tak niepozorny. Kilka napuszczonych czarną farbą znaków.

Imię.

Dawno temu, jeszcze na studiach, Jaspin po pijanemu dał się namówić na ten tatuaż i zapłacił za niego złotem. Gdy wytrzeźwiał, przeraził się do tego stopnia, że natychmiast spróbował usunąć rysunek, przypalając skórę świecą. Bez skutku – po kilku dniach rana zagoiła się bez najmniejszego śladu i tatuaż pozostał na swoim miejscu. Wtedy Jaspin przestraszył się jeszcze bardziej i zaniechał dalszych prób. Nigdy nie próbował też wykorzystać mocy zaklętej w znakach. Bał się. Nawet wtedy, kiedy go uwięziono, z dwojga złego wolał czekać na wyrok, łudząc się, że zostanie ułaskawiony.

Lecz teraz nie miał już nic do stracenia.

Zaczerpnął głęboko tchu i potarł tatuaż wskazującym oraz małym palcem prawej dłoni, tak jak uczono go przed laty.

– Kouremosie! – szepnął. – Kouremosie, przybądź!

Wstrzymał oddech, bo powiało przenikliwym zimnem. Pośrodku celi zaczęły gęstnieć kłęby dymu czy mgły, które szybko przybrały kształt postaci. Po chwili przed więźniem stanął demon z głową ibisa, odziany w bogate szaty.

– A więc po tylu latach wreszcie odważyłeś się mnie wezwać, Jaspinie Sourecie – przemówił chrapliwie. – Jesteś nierozsądnym tchórzem. Mogłem ci pomóc wiele razy, ale teraz już za późno. Nie pomagamy ludziom, którzy są tak słabi, że zwracają się do nas dopiero wówczas, gdy nie mają innego wyjścia.

W akademii w Ri Talma można było potajemnie uczyć się przedmiotów, których nie wykładano legalnie na żadnej uczelni. W tym demonologii. Minęły lata, ale Jaspin Souret nadal pamiętał różne rzeczy z wykładów starego, kulawego mistrza Laurentiusa. Na przykład to, że Otchłań, świat demonów, istnieje i rośnie w siłę, pochłaniając dusze śmiertelników. Takich, którzy dobrowolnie oddali się w niewolę, bądź takich, którzy zostali zabici przy zachowaniu pewnych zasad. Demony mają jeden główny cel – zdobywać jak najwięcej dusz, dlatego są mistrzami manipulacji i podstępu. I stale poszukują sojuszników. Agentów.

Mając w pamięci tę wiedzę, Jaspin Souret uśmiechnął się chytrze.

– A gdybym poprzysiągł wam posłuszeństwo na wieczne czasy… Mógłbym się okazać przydatny. Studiowałem, trochę jeździłem po świecie, mam znajomości…

Demon zmierzył go wzrokiem z niejakim powątpiewaniem, ale widać było, że się zastanawia.

– Chciałbyś zostać naszym sługą w materialnym świecie, człowieczku? O tym musiałaby zadecydować moja pani, Sul-Berith.

– A więc zabierz mnie do niej.

Kouremos uśmiechnął się drapieżnie.

– Skoro tego sobie życzysz….

Dotknął jego czoła końcem pazura i Soureta ogarnęła ciemność.

Strażnicy, którzy nazajutrz rano weszli do celi, żeby zabrać skazanego na miejsce kaźni, zastali na pryczy martwe ciało. Lekarz więzienny postawił diagnozę – apopleksja.

* * *

– Nie musisz się tak trząść, człowieczku. Trzymam cię. Na jad mojej pani! Czemu wy, śmiertelni, jesteście tacy tchórzliwi?

Kouremos dzierżył Soureta w żelaznym uścisku. Niebo nad nimi przypominało skłębiony dym. Lecieli z wielką prędkością ponad czarną równiną, na której wznosiły się drzewa wyższe niż jakakolwiek wieża na ziemi, pozbawione liści, o poskręcanych jakby w męce konarach. Wisieli na nich jęczący potępieni, jeden przy drugim, niczym owoce.

Pośrodku równiny wznosił się pałac o wielu wieżach, czarny jak obsydian. Otaczał go potężny żywopłot ze splątanych ciernistych pędów, wysoki na kilkadziesiąt stóp. Po murach przechadzali się zakuci w zbroje strażnicy o pyskach bestii. Kouremos, nadlatując, pozdrowił ich przeraźliwym ptasim krzykiem.

Wylądowali na dziedzińcu i po niedługim oczekiwaniu zostali wprowadzeni do zamku. Strach zaćmił zmysły Jaspina do tego

stopnia, że szlachcic niewiele zapamiętał z otoczenia. Blask pochodni, czarne marmury, jakieś upiorne postacie.

Zaprowadzono ich do olbrzymiej sali o sklepieniu podpartym kolumnami, gdzie na podwyższeniu, pod baldachimem w kształcie smoczego skrzydła, stał tron z ciemnego metalu. Po obu jego stronach trzymały straż istoty podobne do olbrzymich żuków ze stali, o świecących czerwono oczach.

Sul-Berith, władczyni Doliny Cierni, najlepiej czuła się pod postacią młodej ludzkiej kobiety. Zwodniczo piękna i krucha, w sukni wyglądającej jak utkana z pajęczyn, od niechcenia bawiła się berłem w kształcie pęku kolczastych pędów. Dwie służące o głowach ptaków wachlowały ją.

– Co masz mi do zaoferowania, Jaspinie Sourecie? – spytała głosem podobnym do szemrania wody.

Szlachcic zaczerpnął tchu.

– Chciałbym zostać waszym sługą w materialnym świecie, o pani.

Roześmiała się melodyjnie.

– Przykro mi, Jaspinie. Jesteś słaby, tchórzliwy i źle sobie dobierasz przyjaciół. Nie mielibyśmy z ciebie żadnego pożytku. – Skinęła na strażników. – Zabierzcie go i znajdźcie mu miejsce na równinie, na drzewie.

– Zaczekajcie! – zawołał Souret. Doznał bowiem olśnienia spowodowanego strachem. – Wiem o czymś, co może się wam przydać!

Sul-Berith uniosła brew.

– Mów, śmiertelniku.

– Rok temu, podróżując, zawędrowałem do Shan Vaola nad Zatoką Snów. W oberży przypadkiem podsłuchałem rozmowę dwóch kupców. Opowiadali, na jakie dziwy można się natknąć w tym mieście. Jeden z nich stwierdził, że zna zbieracza osobliwości, który prócz innych niezwykłych przedmiotów ma w swej kolekcji szklaną kulę. Wewnątrz niej dawno temu uwięziono stado ognistych ifrytów. Gdyby zaklęcie prysło, mogłyby zniszczyć nie tylko dom właściciela, ale i całe miasto, ale właściciel kuli uważa ją po prostu za interesujący artefakt.

Gdybyście odnaleźli te ifryty i je uwolnili, mogłyby dla was zdobyć dziesiątki, jeśli nie setki dusz.

– Dziękuję ci, przyjacielu. To interesująca informacja. Sprawdzimy ją. – Sul-Berith skinęła berłem i strażnicy podeszli, chrzęszcząc blachami. – Zabierzcie go na równinę.

– Nie! – rozpaczliwie wrzasnął szlachcic. – Jak to? Nie możecie!

Kouremos parsknął.

– Dobrowolnie oddałeś się w naszą władzę, człowieczku, więc możesz mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Strażnicy wywlekli Soureta za drzwi. Jego krzyki ucichły w oddali.

– Żałosna istota. Ale co się tyczy informacji, które podał… Warto je sprawdzić. – Władczyni w zamyśleniu splotła szczupłe dłonie. – Potrzebny mi Vermigeris.

Wezwano nadwornego wróżbitę.

Godzinę później na posadzce sali tronowej widniał wyrysowany kredą pentagram, wewnątrz którego płonął zielony ogień. Vermigeris, odziany w szatę ze złotogłowiu, intonował kolejne zaklęcia.

Rozległ się trzask i w pentagramie ponad zielonymi płomieniami rozbłysły inne – czerwone jak krew. Przybrały kształt niedużego stworzenia, jaszczurki o szkarłatnych łuskach i wielkich złotych oczach. Salamandra. Ściągnięta daleko od swego macierzystego wymiaru, wiła się w męce. Żywiołaki niechętnie poddawały się rozkazom demonów.

Vermigeris cofnął się i skinieniem dał znak władczyni.

– Sprowadzono cię tu, żebyś odpowiedziała na pytanie – przemówiła Sul-Berith, stając tuż przy krawędzi pentagramu. Oczy salamandry rozszerzył strach. Żywiołaki miały bystry wzrok i widziały więcej niż tylko pozory stwarzane przez cielesną powłokę. – Słuchaj uważnie. Powiedziano nam, że w świecie ludzi, w Shan Vaola na zachodnim krańcu Zatoki Snów, uwięziono stado ifrytów. Jesteś w stanie stwierdzić, czy to prawda?

– W Shan Vaola, na zachodnim krańcu Zatoki Snów – powtórzyła posłusznie salamandra. Jej głos brzmiał jak

skwierczenie oliwy. Zamknęła oczy, a płomyki pełzające po jej skórze przygasły. – Tak. Czuję je… Odcięte dawno temu. Uwięzione.

– Kto je uwięził i gdzie?

– Nie umiem ci tego powiedzieć, pani. Nie wiem.

Sul-Berith odwróciła się do Vermigerisa.

– Czy jest jakiś sposób, żeby zdobyć dokładniejsze informacje? Najlepiej sprowadzić wizję…

Mag potrząsnął głową.

– Potrzebne byłoby coś, co do nich należało. Pióro, pazur…

– Błagam, o potężni, uwolnijcie mnie – zaszeptała salamandra. – Lada chwila zgasnę, tu… jest tak zimno…

– Wypuść ją – rozkazała Sul-Berith. Nie było potrzeby narażać się królestwu ognia.

Mag skinął dłonią i żywiołak rozpłynął się w chmurze dymu, powracając do swojego wymiaru.

– No proszę. Kto by pomyślał. – Władczyni pstryknęła palcami. – Kouremosie!

Demon o głowie ibisa skłonił się nisko.

– Słucham, Wasza Wysokość.

– Ty i twój brat Nebbu wyruszycie niezwłocznie do świata ludzi. Odszukajcie te ifryty i uwolnijcie je ku chwale Doliny Cierni.

2. Niedobry wiatr

Pierwsze oznaki zachwiania ujrzano w Shan Vaola po zachodzie słońca. Na ciemniejącym niebie zapłonęły smugi czerwieni, purpury i fioletu. Powiał lodowaty wiatr, psy zaczęły wyć, a ludzi ogarnął niepokój.

Minęło ponad osiemset lat, odkąd bogowie opuścili świat śmiertelników. Zmrocza, ostatnie stworzone przez nich dzieło i ostatni dar, jaki ofiarowali ludzkości, z upływem czasu osłabła i stała się kapryśna. Niegdyś była równie stabilna jak porządek niebios, zgodnie z którym noc następuje po dniu, a pory roku zmieniają się w ustalonej kolejności. Teraz równowaga jej prądów stała się tak chwiejna, że w każdej chwili mogły ją zakłócić wydarzenia na ziemi.

Podczas zachwiania słabły bariery wokół materialnego świata. Zwykle nieszczelności nie były duże i przenikały przez nie co najwyżej pomniejsze duchy – złośliwe kręciele z wymiaru powietrza, pojedynczy umarli, jedna czy druga larwa. Jednak zdarzały się i gorsze przypadki. Domy przerzucone w całości do wymiaru ognia, ludzie opętani przez demony, które przybyły znikąd. Dlatego srebrni magowie uważali za swój obowiązek czynić wszystko, co możliwe, żeby chronić równowagę Zmroczy, określaną przez nich górnolotnie jako Ekwilibrium.

Zwykli śmiertelnicy w swej ignorancji nie zawsze byli im wdzięczni za te wysiłki. Jednak magowie nie potrzebowali i nie oczekiwali ludzkiej wdzięczności. Postępowali po prostu tak, jak nakazywał kodeks Elity, bractwa srebrnego pentagramu.

Z portu w Shan Vaola przy dobrej pogodzie można było rozróżnić w oddali zarys skalistego wybrzeża Wyspy Salamander. Znajdujące się tam laboratoria Elity były miejscem, gdzie srebrni

magowie podczas zachwiań odprawiali rytuały mające przywrócić Ekwilibrium. Śpiewali pieśni, przelewali krew zwierząt ofiarnych, a także – wprowadziwszy się śpiewem w trans – własną, kalecząc swe ciała srebrnymi nożami.

Czasem zachwiania dawały się wyrównać stosunkowo łatwo, lecz nie tym razem. Łuna świeciła przez całą noc, głucha na wszelkie zaklęcia, o świcie zaś nad miasto przypłynęły chmury, z których spadł najpierw deszcz o gorzkim smaku, a później grad robactwa i żab.

* * *

Zbliżało się południe. Niebo wciąż jeszcze mieniło się podejrzanymi barwami, niczym ścieki z farbiarni.

Trzej zbieracze śmieci z familii odmieńców – Psiogłowiec, Krzywulec i Znajda – szli plażą w kierunku odległego cypla. Mieli nadzieję, że natrafią tam na drewno wyrzucone przez fale, jak zwykle po nawałnicy. Morze było wzburzone, wiatr szarpał rozwieszone na palach rybackie sieci. Tu i ówdzie na piasku leżały zdechłe żaby.

– Patrzcie, wiara, to z tej porannej ulewy – stwierdził Krzywulec. – Nie jest dobrze. Kiedy żaby lecą z nieba, to znaczy, że wielmożnym magom coś się schrzaniło na potęgę.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł smród zgnilizny – nieopodal znajdowało się ujście jednego z miejskich kanałów. Z obmurowanego otworu w porośniętej chwastami skarpie lał się strumień brudnej wody. Ścieki uchodziły do płytkiej zatoczki, której brzeg pokryty był szlamem i odpadkami. Dookoła z wrzaskiem krążyły mewy. Kilku obdartych chłopców grzebało patykami w cuchnącym błocie – nie wyglądało to na zabawę, raczej szukali monet i drobiazgów, które można sprzedać.

– Patrzcie, braciszkowie, rośnie nam konkurencja. – Psiogłowiec wyszczerzył zęby, następnie zaś gromko zaryczał, udając, że chce się rzucić na dzieci. Te rozbiegły się w przestrachu, a odmieniec zarechotał. Do straszenia miał, nie

dało się ukryć, idealne warunki: barczysty, długouchy i porośnięty skudloną sierścią, zwisającą w pozlepianych kłakach.

Krzywulec z kolei, niski i przysadzisty, straszył szczeciniastym, przypominającym ryj obliczem. Miał krzywy kręgosłup, garb na łopatce i zniekształcone nogi. Tylko Znajda był zwyczajnym, zdrowym chłopcem – sierotą, którego odmieńcy przygarnęli i odchowali.

Drobny i chudy, nie wyglądał na swoje trzynaście lat. Był niemiłosiernie brudny i – podobnie jak jego towarzysze – uważał to za coś oczywistego, część życia. Nosił imię odmieńca, bo nikt mu nigdy nie nadał innego. Nie pamiętał swoich prawdziwych rodziców i prawie nigdy o nich nie rozmyślał; czasem tylko zastanawiał się, po kim odziedziczył kręcone rude włosy, niezbyt często spotykane nad Zatoką Snów.

Herszt śmieciarzy, Siny, był skłócony z dozorcami miejskiego wysypiska, dlatego familia prowadziła swój zbieraczy proceder na ulicach i podwórzach. Czasem zdarzało się, że jej członkowie brali za to cięgi od straży miejskiej. Żyli podle, ubierali się w znalezione łachmany i żywili odpadkami. Ale Znajda nie znał innej egzystencji, dlatego uważał, że jego los nie jest najgorszy. Przynajmniej miał przyjaciół.

– O, proszę, opłaciło się przyjść. – Psiogłowiec podniósł wielki mokry kawał drewna i wrzucił go do worka. – Jest tego więcej. Zbieramy.

– Spójrzcie na te chmury. – Krzywulec wskazał niebo. Znad zatoki nadciągał skłębiony ciemny wał. – Ciekawe, czy zaraz lunie.

– I ciekawe, co z nich lunie. – Znajda też się schylił, żeby podnieść ułamany konar, i nagle zamarł. – Hej… chłopaki, chodźcie tu – zniżył głos do szeptu.

– Co jest?

– Patrzcie.

Na piasku pod kępą krzaków siedział bez ruchu wynędzniały, zarośnięty mężczyzna w podartym ubraniu. Nawet nie drgnął, słysząc ich głosy, tylko wpatrywał się w przestrzeń szklistym wzrokiem.

– To świr – skonstatował Krzywulec. – Widywałem już takich. Pewno rodzina go wykopała na bruk. Kiepsko wygląda, nie da się ukryć.

Ciemne, sięgające ramion włosy nieznajomego zwisały w strąkach. Nie sposób było stwierdzić, czy jego cera jest śniada z natury czy to brud. Prawy policzek pokrywały paskudnie wyglądające strupy.

– Zostawcie go, jest trędowaty. – Psiogłowiec skrzywił się z obrzydzeniem, ale Krzywulec prychnął pogardliwie.

– Gdzie masz oczy, nieuku? To tylko zapaprane rany. Ciekawe, co go tak poharatało. Albo kto.

Pod warstwą strupów istotnie dało się rozróżnić trzy zasklepiające się już cięcia. Wyglądało to tak, jakby skórę wokół ran pokryły pęcherze, przechodzące miejscami w czarne plamy martwicy, a teraz to wszystko się goiło, powoli i z trudem.

Znajda trącił Krzywulca łokciem.

– Spójrz na jego ręce. To wygląda, jakby mu puszczano krew, prawda?

Psiogłowiec niecierpliwie przytupywał w miejscu.

– Już dość się nagapiliście. Świr jak świr, też mi sensacja. No, ruszcie tyłki, zimno jest. I zaczyna padać.

O piasek istotnie uderzyły pierwsze krople deszczu. Nagle z wiatrem przypłynął przenikliwy, chichoczący krzyk, ni to ptasi, ni ludzki.

– Kręciele – rzucił nerwowo Krzywulec. – Cholera! Tylko tego nam trzeba!

Powietrznych straszydeł powszechnie się bano, bo zsyłały choroby, a jeśli miały taki kaprys, mogły człowieka porwać i rozszarpać ostrymi jak stal szponami.

W górze ponownie zabrzmiał złowrogi wizg i chichot, powiało zimnem. Na plaży z łopotem wylądowało kilka pokracznych stworzeń o kształtach ni to ptasich, ni nietoperzych, o czarnych skrzydłach i jarzących się ślepiach. Krzywulec zwinął się w kłębek, zasłaniając głowę płaszczem. Psiogłowiec zawarczał groźnie, unosząc pięści. Znajda ścisnął w ręku kij.

Raptem jeden ze stworów wrzasnął ostrzegawczo i kręciele wzbiły się z powrotem w powietrze. Nastąpiło to tak szybko, że gdy przyjaciele ochłonęli, na ziemi walało się już tylko kilka czarnych piór.

Psiogłowiec i Znajda popatrzyli na siebie, nie wierząc własnemu szczęściu. Po dłuższej chwili Krzywulec odważył się wstać.

– Poleciały…? – spytał, wytrzeszczając ślepia. – Jak to możliwe?

Szelest za plecami sprawił, że wszyscy trzej odwrócili się jak na komendę.

Nieznajomy poruszył się. Patrzył teraz na nich – pustym, budzącym dreszcz wzrokiem.

– Ee… jak się nazywasz? – zaryzykował Znajda, pamiętając, żeby mówić jak zwykli ludzie. Nie należało się spodziewać, że obcy będzie rozumiał żargon odmieńców, składający się w połowie ze słów, a w połowie z gestów.

Mężczyzna otulił się kurtką, jakby było mu zimno, i nadal wpatrywał się w nich, nic nie mówiąc.

– Lepiej go nie zagaduj, mały – mruknął Psiogłowiec. – A nuż to zbiegły morderca.

– Co za bzdury! – obruszył się Znajda. – Pewnie wydostał się ze szpitala dla obłąkanych.

– Nie wiadomo. Z tego, co słyszałem, tam pacjentom goli się głowy. I w ogóle coś mi tu nie pasuje.

– A ja chyba nawet wiem, co ci nie pasuje – rzucił cicho Krzywulec. – Faktycznie, to dziwne.

– Co?

– Ma buty. I przypatrz się dokładniej, jak jest odziany.

– Hę?

– Psiogłowiec, stary tumanie. Spójrz no tu. – Krzywulec dotknął rękawa swojej tuniki, sztywnej od brudu i tak połatanej, że trudno było dociec, z jakiego materiału ją wykonano. – Jesteś śmieciarzem i nie potrafisz dostrzec różnicy między moimi łachami a porządnym ubraniem, które ktoś zniszczył, sypiając w nim po krzakach? On się nie tuła długo, jakem odmieniec.

– Mógł dostać od kogoś to ubranie. Albo ukraść.

– Myślisz?

– Cholera wie. Może być sprytniejszy, niż wygląda. Z wariatami nigdy nic nie wiadomo.

Krzywulec znowu popatrzył z namysłem na nieznajomego.

– Chodź, przyjacielu – stwierdził, ku zdumieniu towarzyszy ujmując go za ramię. Obłąkany wstał posłusznie, chwiejąc się trochę na nogach. – Pójdziesz z nami.

Psiogłowiec wytrzeszczył ślepia.

– Zwariowałeś? Co na to Siny?

– Nie wiem. Ale nie godzi się go tu zostawić. Jest zachwianie, grasują kręciele i w ogóle. Co tak patrzycie?

– No… – Psiogłowiec poskrobał się po kudłach. – W sumie może to nie taki zły pomysł. Jakby się go dało przyuczyć do roboty, to wuj Siny jeszcze nam podziękuje.

Obłąkany zamamrotał coś.

– Tak, tak. – Krzywulec uspokajająco poklepał go po plecach. – Wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się tobą.

* * *

Bogate Shan Vaola, pełne pięknych kamienic i brukowanych placów z fontannami, posiadało też swoją brzydszą stronę. Podziemia.

Prastare lochy ciągnęły się daleko w głąb otaczających miasto wzgórz. Nikt nie wiedział, jak głęboko sięgają, bo niebezpiecznie było zapuszczać się tam, gdzie przejścia groziły zawaleniem, a w zakamarkach korytarzy gnieździły się zdziczałe homunkulusy, polujące na szczury i siebie nawzajem, ale niegardzące też człowiekiem, jeśli się trafił.

Większość mieszkańców Podziemi wolała się trzymać blisko powierzchni. Najwyższe poziomy stanowiły niejako część miasta i toczyło się tam miejskie życie. W dogodnie położonych, suchych i przewiewnych kryptach kupcy składowali towary; rzemieślnicy, których nie było stać na urządzenie warsztatu na powierzchni, mogli rozważyć przeniesienie się do lochów. Osobnymi,

zamkniętymi korytarzami płynęły ścieki. Położone na uboczu przejścia stawały się schronieniem bezdomnych i kryjówką przestępców. Ale im niżej, tym bardziej niepodzielnie królowały ciemność i cisza, z rzadka mącona szmerem spadających ze sklepienia kropel.

W Podziemiach nie lubiano wilgoci. Pleśniały od niej posłania, a ludzie chorowali. Ale miała ona jedną zaletę. Na zawilgoconych murach i skałach, zwłaszcza tam, gdzie wysypano śmieci, rósł fosforyzujący mech. Wystarczyło zeskrobać garstkę i rozgotować w wodzie, by uzyskać świecącą niebieskawo maź, którą należało tylko wlać do szklanego naczynia, żeby powstała lampa. Mieszkańcy lochów nazywali tę substancję po prostu świeciwem. Była tańsza i praktyczniejsza w użyciu niż pochodnie i kaganki, tym bardziej że swoje właściwości zachowywała przez długie miesiące.

Krypta śmieciarzy, położona na czwartym poziomie od góry, nie była przyjaznym miejscem. Dymiące ogniska, barłogi ze szmat, ciągnący od ścian wszechobecny ziąb. Ale żyło się tam lepiej niż na ulicy, pod gołym niebem.

– Nie bój się – powiedział uspokajająco Znajda, kiedy obłąkany zawahał się w progu. – Jesteśmy w domu.

Ledwie weszli, drogę zastąpiła im Kurzajka – sędziwa, utykająca odmianka, druga po Sinym, jeśli chodzi o pozycję w familii.

– Co to ma być? – zapytała ostro, biorąc się pod boki. – Kiedy się przychodzi? I odkąd sprowadza się przybłędów?

Krzywulec, jąkając się nieco, zaczął wyjaśniać. Przerwała mu w pół słowa i oznajmiła, że wszyscy trzej są durniami, a potem że Siny śpi i nie lza go budzić.

– Nie ma dziś ciepłej strawy, bo mnie plecy bolą – oznajmiła na koniec.

Psiogłowiec od razu zmarkotniał.

– A chleb jest?

– Jest. Chociaż ciebie przydałoby się przegłodzić, kałdun ci za duży rośnie. – Szturchnęła kudłacza w brzuch. – Chodźcie, co tak stoicie? Dam wam.

– Tylko tyle? – obruszył się Krzywulec, kiedy dostali swoje porcje. – A dla niego?

– Wyście go przyprowadzili, to się z nim dzielcie.

– Skąpa jędza – mruknął Znajda.

Wyłożyli z worków przyniesione drewno, żeby się suszyło, a następnie usiedli przy ognisku, rozkoszując się ciepłem. Obłąkany nadal milczał, ale na widok ognia wyraźnie się ożywił i też wyciągnął zmarznięte ręce w stronę płomieni.

– Pochrupek, chodź tu – zawołał z cicha Znajda.

Z kąta wyjrzał stworek wzrostu dwuletniego dziecka, ze spiczastą, szczurzą mordką. Pisnął i podbiegł do chłopaka. Znajda odłamał kawałek ze swojej kromki i rzucił mu. Resztę chciał podać obłąkanemu, ale Krzywulec go powstrzymał.

– Jedz, mały, ty jeszcze rośniesz. Niech zje mój, nie jestem głodny.

– Hej, Pyszczek, ślicznotko, pójdziemy w miasto się zabawić? – rzucił Psiogłowiec, kiedy podeszła do nich dziewczyna z głową kota, ubrana w męską roboczą tunikę i spodnie. Jej ciało porastała delikatna szara sierść.

– Nie masz za co – odpaliła.

Jak przystało na istotę o kociej aparycji, wyglądała czyściej od pozostałych, a jej legowisko znajdowało się w pewnej odległości od reszty. Przyłączyła się do familii zaledwie przed kilkoma tygodniami i wiedzieli, że nie zabawi w Podziemiach długo. Na powierzchni pracowała jako tancerka, naraziła się komuś i postanowiła na jakiś czas zejść z widoku.

Znajda ją lubił. Była miła i nie zadzierała nosa.

– Hej, młody, co ja widzę? – zagadnęła, siadając przy ogniu. – Znalazłeś sobie brata? Bogowie, co mu się stało w twarz?

– Nie wiemy. Siedział na plaży. Nie mogliśmy go tam zostawić, jest zachwianie, kręciele, no wiesz – wyrzucił z siebie chłopiec jednym tchem. – Może Siny się zgodzi, żeby został z nami.

Obłąkany podniósł głowę, jakby rozumiejąc, że mówią o nim. Nagle jego wargi się poruszyły.

– Pysz-czek – powiedział cicho, ale wyraźnie.

– Tak, zgadza się – odpowiedziała życzliwie odmianka. – Nazywam się Pyszczek.

– Pyszczek. – Przez jego twarz przemknął uśmiech. – Miau.

Jej wąsy drgnęły, widać było, że stara się nie roześmiać.

– Miau, biedny chłopcze. Widzisz, na co ci przyszło? Przygarnęli cię śmieciarze.

Sięgnęła na swoje posłanie, podniosła jedną z derek i narzuciła mu na ramiona.

– Trzymaj, jeszcze tego brakowało, żebyś spał na zimnych kamieniach. Mam tylko nadzieję, że Siny cię stąd nie przepędzi.

– Siny śpi. – Krzywulec machnął ręką. – Jutro z nim pogadamy.

* * *

Nad miastem zapadał wieczór. Ławice chmur odpłynęły, odsłaniając księżyc. Krwawe smugi na niebie stopniowo gasły.

Na dziedzińcu starej świątyni Harana, władcy bogów, panowała cisza. Ciężkie odrzwia były zamknięte na kłódkę – otwierano je już tylko z okazji wielkich świąt, dwa razy do roku.

Na schodach siedziała kobieta o długich, rozpuszczonych jasnych włosach, ubrana w biel. Srebrna czarodziejka Iglendis ar Vanth w zamyśleniu spoglądała na miasto.

Marmurowe stopnie schodów były spękane, a w szczelinach rosły chwasty. Minęło ponad osiemset lat, odkąd bogowie odeszli, i ich kult pomału wygasał. Zamiast modlić się do wielkich nieobecnych, ludzie woleli obdarzać czcią pośledniejszych nieśmiertelnych, takich jak Matki Żywiołów, król gór Eremus, tajemniczy leśny stwór Koźlonogi albo Protheus, zmiennokształtny morski starzec. Nie potrafili lub nie chcieli pojąć, że od czasu odejścia bogów jedyną siłą, jaka naprawdę się liczy, jest Zmrocza, Sha'r. Potężna, a zarazem jakże niedoskonała w swej kruchej równowadze.

Ze wzgórza widać było morze dachów, a dalej zatokę. Gdy Iglendis zamknęła oczy, wewnętrznym wzrokiem maga nadal widziała miasto, teraz jako drgającą mozaikę światła i cienia.

Miało własną aurę, niewiarygodnie złożoną, bo składały się na nią odrębne aury każdego z mieszkańców, każdego domu, każdego kawałka ulicy. Zdarzenia, myśli, emocje. Miasto żyło.

Czarodziejka wyjęła z fałdów szaty błękitny kryształ w srebrnej oprawie i dwukrotnie puknęła weń małym palcem lewej dłoni. Wewnątrz kryształu pojawiło się oblicze siwobrodego starca.

– Zachwianie się wyrównuje, mistrzu Demetheosie – oznajmiła Iglendis. – Aura miasta odzyskała stabilność. Nie ma już żadnego zagrożenia.

– Doskonale, moja córko – zabrzmiał z kryształu nieco zniekształcony głos. – Dziękuję ci. Możesz wracać do swoich obowiązków.

* * *

– Zobacz, zasnął.

– I dobrze. – Krzywulec flegmatycznie wystukał popiół z fajki. – Może jak się zbudzi, będzie przytomniejszy.

– Ciekawe, co mu właściwie jest.

– A co za różnica? Wariat to wariat. Świat jest ich pełen.

Znajda, wsparty na łokciu, patrzył na obłąkanego z troską.

– Jak sądzisz, Siny się zgodzi, żeby z nami został?

– Co ma się nie zgodzić? Śpij, mały. Za dużo myślisz, to szkodzi zdrowiu. – Krzywulec ziewnął, aż mu chrupnęło w szczęce, i wyciągnął się na posłaniu.

Tuż przed zaśnięciem Znajda przypomniał sobie jeszcze wrzaski kręcieli. Co chciały przekazać? Miotały groźby czy ostrzegały przed zachwianiem? A może po prostu naśmiewały się z ludzi, którzy nie potrafili latać z wiatrem w zawody? Usnął z tą myślą.

W siedzibie śmieciarzy było coraz ciszej. Szeptane rozmowy umilkły, ogniska przygasły. W końcu w krypcie rozbrzmiewały już tylko miarowe oddechy i chrapanie.

Wtedy obłąkany otworzył oczy.

Chwilę trwał w bezruchu, patrząc w przestrzeń. Potem wyczołgał się spomiędzy śpiących, nie budząc nikogo. Zabrał derkę i swym niepewnym, chwiejnym krokiem opuścił kryptę.

Gdyby odmieńcy mogli go teraz zobaczyć, wiedzieliby już na pewno, że coś tu się nie zgadza. Obłąkany nie potrzebował światła. Szedł powoli, ale nie po omacku, nie potykał się. Po krótkim błądzeniu odnalazł schody prowadzące w górę.

Choć na powierzchni panowała noc, na pierwszym poziomie Podziemi jarzyły się lampy i kręcili ludzie. Tu przez całą dobę coś się działo.

Przy wyjściu na ulicę Świątynną odmieniec o białej skórze i wypukłych czarnych ślepiach, pogwizdując, zamiatał posadzkę. Dwoje obdartych dzieci drzemało we wnęce na posłaniu ze szmat. Bosa dziewczyna w spódnicy szytej z kolorowych łatek oferowała na sprzedaż kadzidełka i ciastka.

Przy samych schodach stary szczurołap Veljanov rozmawiał ze szpakowatym mężczyzną w czarnej szacie z dwoma białymi pasami u dołu. Bernard Savin był lekarzem i na co dzień praktykował swój zawód raczej w zamożnych mieszczańskich domach. Ale zgodnie z obowiązującym w Shan Vaola prawem członkowie cechu medyków mieli obowiązek pomagać ubogim i bezdomnym. W ciągu dwudziestu lat Bernard zdążył dobrze poznać społeczność Podziemi, a oni traktowali go do pewnego stopnia jak swego.

– Patrzeć już nie mogę na to, co się dzieje w mieście, doktorze – stwierdził Veljanov, nie wyjmując fajki z ust. Wzięło go na monologowanie na tematy polityczne, jak zwykle, kiedy był w podłym nastroju. – Z każdym rokiem, cholera, jest gorzej.

Bernard, który dobrze go znał, mruknął coś nieokreślonego.

– Wiecie, jaką dziś mamy rocznicę?

– Nie.

– Ha! Wy jesteście za młodzi, ale ja pamiętam dokładnie. Dziś mija czterdzieści osiem lat, odkąd doża przekazał władzę w ręce srebrnych magów w zamian za ocalenie miasta i dworu od zarazy. Niech skonam, czasem sobie myślę, że lepsza byłaby zaraza niż oni. Ustalają prawa, jak im się podoba, zmieniają je wedle

kaprysu. Straż miejską okroili o połowę, w zamian nahodowali golemów, ale niech mnie mór udusi, jeśli pojmuję, jaki pożytek z tych przeklętych kukieł. – Wskazał brunatny zaciek na murze. – Ot, nie dalej jak wczoraj zbiry zadźgały w tym miejscu chłopaka, pod samym nosem patrolu. Co zrobiły golemy? Nic.

– Przecież znacie prawo. Jednoocy interweniują tylko wówczas, gdy wymaga tego Ekwilibrium.

– Ekwilibrium – powtórzył z obrzydzeniem szczurołap. – Jestem prosty człek i mówię wam: gówno, doktorze. Piękne słowo, które nic nie znaczy. Co nam po Ekwilibrium, kiedy sprawiedliwości brak? Co to za sprawiedliwość, jeśli jednego dnia złodziei się wiesza, drugiego puszcza wolno? Kto to pojmie?

– Nie nam sądzić magów, Veljanov.

– Nie nam? A komu? Obaj mieszkamy w tym mieście, doktorze, obaj wiemy, jak ono wygląda. Biedy i przestępstw jest tyle samo co za dożów, może nawet więcej, ale srebrnych nic to nie obchodzi. Wolą gapić się w gwiazdy, tworzyć golemy, hybrydy i cholera wie co jeszcze. Nasz miłościwy Najdostojniejszy to też przecie żaden człowiek, jeno kukła wyhodowana w kadzi. Po co w ogóle srebrnym Najdostojniejszy? I tak wiadomo, że to oni rządzą.

– Do pioruna, uważajcie na to, co mówicie – powiedział cicho Bernard. – Te mury mają uszy.

Veljanov tylko wyjął fajkę z ust i splunął.

W pobliżu rozległ się stuk, potem coś zaskrzypiało. To sprzedawczyni bułek ostrożnie sprowadzała po schodach wózek pełen świeżych wypieków. Pomogli jej.

– A może rogalika? – Uśmiechnęła się, pokazując spróchniałe zęby. – Dobre są. Z kapustą albo z soczewicą.

Szczurołap potrząsnął głową, ale lekarz sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Ja poproszę jednego z kapustą. Veljanov? Na pewno nie?

– Nie trza. – Stary poskrobał się po nieogolonym podbródku. – Doktorze, ja do was jeszcze jedną sprawę mam.

– Jaką?

Veljanov rozejrzał się, zniżył głos.

– Adelmo zaniemógł. Ten kulawy czyściciel kanałów, wiecie. Leży w gorączce. Boim się, czy to nie ospa.

Bernard westchnął w duchu. Był zmęczony i nie miał ochoty schodzić do kolejnej śmierdzącej izby, do kolejnego brudnego i zawszonego pacjenta.

– Zbadam go. Ale jeśli to ospa, będę musiał powiadomić władze cechu.

– Zabierzecie go do szpitala i będziecie leczyć tym palącym skórę świństwem?

– Takie jest prawo.

Veljanov przygryzł wąsa.

– Zaprowadź mnie do niego – polecił Bernard. – Jeśli to ospa, lepiej, żebyśmy się dowiedzieli wystarczająco wcześnie, zanim zapadnie na nią połowa dzieciaków w Podziemiach.

Oddalili się, nadal rozmawiając przyciszonymi głosami. Wyminęli obdartego, zarośniętego człowieka ze strupami na twarzy, który nadszedł chwiejnie z głębi korytarza, niosąc na ramieniu derkę.

Białoskóry odmieniec na jego widok odstawił miotłę i zagwizdał.

– Ej, ty! Co ci się stało w gębę?

– Daj mu spokój – rzuciła karcąco dziewczyna od kadzidełek.

Obłąkany zbliżył się do schodów, zadarł głowę. Widoczne w górze niebo z czarnego stało się ciemnoniebieskie – znak, że wkrótce zacznie świtać.

Stał tak chwilę, potem usiadł na najniższym stopniu. Szepcząc do siebie, wodził dłonią tam i z powrotem w powietrzu, jakby chwytał niewidzialne pajęczyny. Staruszka od bułek i rogali popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Pewnie jesteś głodny, synku, co? Chodź, dam ci coś.

* * *

Godzinę przed świtem na ulicach jeszcze panowała cisza, okiennice były pozamykane. Na placu przed ratuszem, pod

studnią, drzemał bezpański kundel. Kiedy z zaułka wyłoniło się dwóch mężczyzn, tylko przelotnie zastrzygł uchem i spał dalej.

Dwa demony dopiero co przybrały śmiertelne ciała. Kouremos przyjął postać korpulentnego mężczyzny z czarną brodą, Nebbu – szczupłego młodzieńca. Zakamuflowali się perfekcyjnie, nawet srebrni magowie nie umieliby teraz rozpoznać ich prawdziwej natury.

Byli ubrani przyzwoicie, ale tak, żeby nie przykuwać uwagi. Ot, przyjezdni. Idąc, rozmawiali przyciszonymi głosami, oczywiście nie w narzeczu Otchłani, tylko w mowie imperium Nedgvaru. Znali wszystkie ziemskie języki, a do Shan Vaola przyjeżdżało wielu nedgvarskich kupców.

Nagle Nebbu zaklął, bo wdepnął w końskie łajno. Z obrzydzeniem obejrzał but i spróbował go wytrzeć o bruk.

– Dość tu brudno, nie sądzisz? Jak na miasto, którym rządzą srebrni magowie…

– Od razu widać, że rzadko bywasz na ziemi. To – Kouremos zatoczył krąg ręką – jest cywilizacja jak się patrzy, mój młody przyjacielu. Brukowane ulice, rynsztoki, akwedukty. I prawie nikt nie wylewa nocników przez okno.

– Trzeba przyznać, że architekturę mają niczego sobie. – Nebbu zadarł głowę, żeby przyjrzeć się płaskorzeźbom na fasadzie najbliższej kamienicy. – Więc jaki mamy plan na najbliższe dni?

– Cóż, w pierwszej kolejności trzeba się wywiedzieć, ilu magów aktualnie przebywa w mieście.

– Srebrnych czy czarnych?

– Jednych i drugich. Musimy sprawdzić ich siedziby. Na drugi ogień pójdą amatorzy, ci wszyscy ekscentryczni arystokraci, którzy potajemnie zabawiają się gusłami i kolekcjonują niebezpieczne osobliwości. Trzeba też będzie oczywiście rozejrzeć się po rynku zakazanych cudeniek. Kramy z amuletami, sprzedawcy ksiąg, te sprawy.

– To wszystko zajmie trochę czasu.

– Cierpliwości. Ostrożność i dyskrecja przede wszystkim.

3. Familia

Obudziło go zimno i ćwierkanie ptaków. Przetarł oczy.

Nad sobą zobaczył bezchmurne niebo różowiejące na wschodzie.

Siedział na trawie, oparty plecami o coś twardego. Okazało się, że to fragment zniszczonego muru, w którym ział czarny otwór, chyba zejście do piwnic. Obłąkany zadrżał. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Przeszłość była matnią zamazanych wrażeń. Krzyki… szum morza… mgła…

Był owinięty w derkę i trzymał w ręku rogala z jakimś nadzieniem. Nie pamiętał, jak zdobył jedno i drugie. Pomyślał, że chyba nie chce tego wiedzieć.

Nie miał gorączki. Chociaż tyle. Ostrożnie dotknął twarzy i przekonał się, że stan zapalny ustąpił, spod strupów już nie sączył się wstrętny wysięk. Rany nareszcie się goiły.

Nagle uświadomił sobie, że jest piekielnie głodny. Odgryzł kawałek rogala i stwierdził, że brązowa breja w środku to soczewica.

Żując, rozejrzał się i zobaczył, że znajduje się na łagodnie nachylonym zboczu, gdzieniegdzie zarośniętym krzakami. Poniżej rozciągały się łąki zasnute poranną mgiełką. Trochę dalej leniwie toczyła swe wody szeroka rzeka. Na drugim brzegu majaczyły zabudowania.

Jeśli ufać pierwszym wrażeniom – przyjazne miejsce.

Zmrużył oczy. Na przełaj przez łąki szła postać niosąca wędkę i wiklinową plecionkę z rybami. Przyjrzawszy się dokładniej, mimo woli poczuł dreszcz.

To nie był człowiek, lecz… stwór. Miał nieproporcjonalnie długie kończyny i zupełnie łysą głowę zwężającą się na czubku w szpic.

Obłąkany pomyślał, że może powinien się ukryć w krzakach, ale było za późno. Odmieniec dostrzegł go już, przyspieszył kroku i zamachał ręką na powitanie.

Z bliska wyglądał jeszcze bardziej odrażająco. Spod żółtej jak siarka skóry sterczały gdzieniegdzie kawałki chrząstki, a w miejscu nosa ziała podłużna szpara, która otwierała się i zamykała w rytm oddechu. Resztę ciała spowijały brudne łachy.

Szczerzył przyjaźnie zęby, jak do starego druha.

– Tum cię nalazł! Żyjesz, sokole?

– Ty mnie znasz?

– Jakżeby inaczej. Nocowałeś wczora u nas. Myślelim, żeś jeden z tych, no… co rozum mają nie całkiem tego. Znikłeś, gdyśmy spali, a tera tu sobie siedzisz jakby nigdy nic! Jelegancko żeś nas nabrał, brachu. Naćpany byłeś czy jak? A zresztą, do biesa z tym, dobrze ci z oczu patrzy. Jam jest Czapla, a ciebie jak zwą?

– Brune – obłąkany wypowiedział pierwsze imię, jakie podsunęła mu pamięć. – Brune Keare.

Odmieniec powtórzył to sobie po cichu kilka razy.

– Takie sobie miano – stwierdził autorytatywnie. – Wynajdziem ci lepsze.

Nad rzeką tymczasem wzeszło słońce. Mgły opadły. Pierwszy promień ozłocił wodę, padł na zbocze i mur.

Brune nagle zorientował się, że światło razi go w oczy. Przymknął powieki, ale nie odsunął się. Był zmarznięty, zatęsknił za słonecznym ciepłem.

Przykro się zawiódł. Prawie od razu uderzyło go nieprzyjemne gorąco, jakby usiadł za blisko ognia. Czym prędzej usunął się w cień, ale było za późno. Prawa połowa twarzy już boleśnie swędziała. Poczuł, że kącik ust i powieka zaczynają drgać. Odmieniec zmarszczył czoło.

– Słońce ci szkodzi?

Pokiwał głową, wciąż bezskutecznie starając się zapanować nad tikiem. Czapla namyślał się przez chwilę, potem pociągnął go za rękaw.

– Wstawaj. Trza ci należć schronienie. – Nie czekając na odpowiedź, schylił się i wpełzł do otworu w murze.

Brune przełknął ostatni kęs, otrzepał ręce i wstał, zwijając derkę. Popatrzył z niesmakiem na swoje ubranie – wyglądało niewiele porządniej niż szmaty, które miał na sobie beznosy. Trudno, na razie nie miało to znaczenia.

Machinalnie powiódł palcami wzdłuż zagojonych śladów na nadgarstku. Potem ruszył w ślad za pokracznym stworzeniem, zagłębiając się w mrok.

* * *

– Psiogłowiec! Znajda! Przyprowadziłem wam zgubę! – Czapla promieniał. – Oprzytomniał! Powiedział mi, jak się nazywa!

– Eee tam, nabierasz nas. – Pyszczek ziewnęła.

Czapla odwrócił się.

– Brune! No, powiedz im, jak masz na imię!

Obłąkany tylko szeptał coś do siebie. Jego spojrzenie znów było szkliste, nieprzytomne. Czapla posmutniał.

– Chodź – powiedział Znajda, biorąc przybysza za rękę. – Siądź przy ogniu, zmarzłeś. Po co odchodziłeś? Tu z nami jesteś bezpieczny. Damy ci jeść i w ogóle.

– O, co to, to nie! – wykrzyknęła Kurzajka. – Nie będę go karmić, chyba że Siny się zgodzi! Zresztą możecie go zaraz spytać o pozwolenie, właśnie wstał!

Istotnie, ciężkie, szurające kroki zwiastowały nieomylnie, że zbliża się herszt familii.

Jego imię wzięło się od sinawej, pokrytej plamami skóry. Z trudem wlókł swoje masywne cielsko, co chwila chrząkał i odkasływał.

– No, dziatki, oto mamy kolejny piękny dzień – wychrypiał. Nagle zatrzymał się jak wryty, bo spostrzegł nieznajomego. – A to co? Co to, do pioruna, za jeden? Rozmnożyliście się przez noc?

– Nie patrz na mnie, tatku, to oni go przyprowadzili – oświadczył natychmiast Czapla.

– Ach tak. – Siny chrząknął ciężko. – No, chłopcy, co mi powiecie?

Psiogłowiec i Znajda popatrzyli wymownie na Krzywulca. Ten w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę.

– Sam mówiłeś onegdaj, wuju, że przydałoby się powiększyć rodzinę – bąknął. – Zmiotucha już nie ma z nami, świećcie mu bogowie. Kurzajka niedomaga, Pochrupek jest za wątły, żeby chodzić z workiem, a Czapla nic, tylko by ryby łowił…

– Ale to człowiek! I w dodatku taki jakiś… nie bardzo. Pijany? Brał jakieś świństwo?

– Ma, zdaje się, coś z głową – odezwał się Znajda.

– Ale ręce w porządku – wtrąciła Pyszczek. – Chyba warto się zastanowić, wuju.

– Hmm. – Siny znowu chrząknął, krytycznie przypatrując się przybyszowi. Brune stał z apatycznie zwieszoną głową, nie reagując na to, co mówili. – Chudy, że szkoda gadać. Choruje na co paskudnego, jak myślicie?

– Nie. Wygląda na to, że jest zdrów, tylko z rozumem coś… nie całkiem. – Psiogłowiec wymownie stuknął się w czoło.

– Mówił do mnie – przypomniał Czapla. – Powiedział, jak się…

– Dobrze, dobrze – uciszyła go Pyszczek. – Wiemy.

Pochrupek pisnął, wspinając się na palce.

– Hrrrmf! – Stary odmieniec odkaszlnął jak z głębi beczki. – Niech zostanie. Ręce ma zdrowe, może pracować. A głowa… Do naszej roboty wiele rozumu nie potrzeba. – Poklepał kudłacza po plecach. – Jesteś tego chodzącym dowodem, Psiogłowiec.

* * *

Znów śniły mu się niezrozumiałe obrazy.

Burza. Płonący zamek.

Dzwony biją głucho, żałobnie. Na ulicach tlą się stosy. Dym podnosi się, przesłania wszystko…

Wyspa pośród wzburzonego morza. Jałowe, skaliste wzgórza.

Loch, kajdany na rękach i nogach. Mam gorączkę i mrok przybiera dziwne kształty – widzę oblicza potworów, skrzydlate demony, węże…

Kręciele krzyczą wśród mgły. Świt srebrzy wody zatoki; u jej krańca widać wzgórza i miasto położone u ich stóp. Potem rzeczywistość rozstępuje się jak zasłona, ukazując schody prowadzące w dół. W ciszę i ciemność.

Kiedy Brune się ocknął, w krypcie było pusto. Ogniska wygaszono, zwinięte koce leżały pod ścianą. Przygarbiona, kulejąca odmianka zamiatała posadzkę. Jej pokryte brodawkami oblicze mogłoby należeć do jakiegoś stwora z moczarów. Kurzajka, przypomniał sobie, tak brzmiało jej imię.

– No, wreszcie żeś oprzytomniał – stwierdziła gderliwie, nie przerywając swojego zajęcia.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Brune. Cicho i ochryple, ale zrozumiale.

– A gdzie mają być? Poszli w miasto, jak co dzień.

– Znajda…

– Znajdy nie ma. Znajda w mieście. Ech, bido ty, niewiele pojmujesz, co? – Kurzajka z westchnieniem odstawiła miotłę. – Chodź. Dam ci jeść. Siny pozwolił.

Zaprowadziła go w kąt, gdzie obok paleniska stało trochę garnków, dwa wiadra i osmalony kociołek. Dostał kawałek podeschniętego chleba oraz ochłap zapleśniałego paskudztwa, które kiedyś przypuszczalnie było serem. Pokręcił głową na znak, że tego nie chce.

– Nie to nie. – Kurzajka wzruszyła ramionami i sama nadgryzła ser. Oddaliła się, żując.

Brune napił się wody z wiadra i bez entuzjazmu zaczął jeść chleb.

Po jakimś czasie Kurzajka wróciła. Przez ramię miała przewieszony pęk starych, dziurawych ubrań.

– Chodź. Będziesz sortował łupy, ktoś musi. Weź latarnię.

Posłusznie poszedł za nią do mniejszej krypty, szepcząc niezrozumiale pod nosem. Pomieszczenie wypełniały sterty śmieci, piętrzące się aż pod sklepienie.

Śmieciarze umieli spożytkować praktycznie wszystko, co wpadło im w ręce. Stare zardzewiałe narzędzia, patelnie, podkowy i wszelkie inne żelazne przedmioty trafiały do kowala.

Potłuczone szkło – do szklarza. Garnki, jeśli się dało, drutowali. Znaczące źródło zarobku stanowiły ubrania; z dwóch czy trzech dziurawych starych kaftanów przy odrobinie zacięcia można było wyczarować jeden cały. Naprawione sztuki trafiały do handlarza używaną odzieżą, który prał je i wystawiał na sprzedaż. Z gałganów szyli derki, których używali sami.

Zniszczone meble, ramy okienne, słomę z sienników, niedopalone resztki drewna i węgla – to wszystko przeznaczano na opał. Z mebli starannie wyciągano przedtem gwoździe i zdzierano obicia, jeśli tkanina jeszcze się do czegoś nadawała. Kości, gdy nagromadziło się ich dostatecznie dużo, sprzedawano człowiekowi, który wytwarzał z nich klej.

Pomysłowość zapewniała przetrwanie.

Kurzajka usiadła na stołeczku, rozłożyła sobie na kolanach podartą dziecięcą sukienkę i wyjęła ze swojej chusty wpiętą tam igłę z nitką.

– Możesz się na początek zająć tą stertą w rogu. Szmaty kładź tutaj. Kości tam. Szkło do tego wiadra. I przestań mamrotać! Działasz mi na nerwy.

* * *

Spod uniesionej pokrywy kotła buchnął kłąb pary. W całej krypcie zapachniało obiadem, ten i ów niecierpliwie przełknął ślinkę.

– Oho, dzisiaj z omastą – ożywił się Psiogłowiec.

Kurzajka sprawnie rozdzieliła zawartość kotła do kilku garnków, które właściciele następnie zabrali, i familia zaczęła się pożywiać. Psiogłowiec, Krzywulec, Pyszczek oraz Znajda jak zwykle jedli razem w pełnej zgodzie. Jęczmienna kasza chrzęściła w zębach.

– Hej, Znajda – odezwała się nagle Pyszczek, zerknąwszy przez ramię. – On znów… – Wymownie dotknęła skroni.

Znajda z pewnym żalem odłożył łyżkę i wstał.

– Zostawcie nam trochę, dobra? – poprosił. Podszedł do obłąkanego, który siedział nieruchomo na swoim legowisku, patrząc w przestrzeń. – Hej, dobrze się czujesz?

– Zostanie tylko popiół – powiedział cicho tamten. – Tylko popiół… – Nagle zrobił gest, jakby chciał się osłonić przed ciosem, a potem znów zastygł w bezruchu.

Znajda potrząsnął go za ramię.

– Brune? Obudź się! Jest obiad, chodź, zjemy razem!

Ale Brune tylko szeptał do siebie niezrozumiałe słowa. Niespodziewanie jego twarz wykrzywił tik, tak mocno, że przez chwilę przypominała zniekształcone oblicze odmieńca.

Znajda poczuł się nieswojo. Nie mówiąc nic więcej, wstał i wrócił do przerwanego posiłku.

– A on? – spytała półgłosem Pyszczek.

– Nie chce. Trudno, najwyżej poproszę potem Kurzajkę o trochę chleba.

Skończywszy jeść, wszyscy czworo wyciągnęli się wokół ogniska. Znajda okrył się derką i przymknął oczy. Pyszczek zaczęła się wylizywać po kociemu. Brune nadal siedział bez ruchu i patrzył na swoje ręce, czarne od brudu po dniu grzebania w śmieciach.

– Zostało jeszcze trochę, będziesz to jadł? – zagadnął go Psiogłowiec, pokazując garnek z przylepionymi na dnie pozostałościami kaszy. Jedyną reakcją było puste spojrzenie. – Pytam, czy będziesz to jadł.

Ponieważ Brune nadal nie odpowiadał, kudłacz, wzruszywszy ramionami, zabrał się do swojego ulubionego zajęcia, czyli dojadania resztek.

Krzywulec wyciągniętym z ognia węgielkiem zapalił fajkę.

– Oho, i tyleśmy mieli spokoju – stwierdził nagle, bo właśnie przykuśtykała do nich ciężko Kurzajka.

– Obiboki, lenie parszywe! Nic, tylko by żarli, a ty, babo, męcz się sama! – Z rozmachem postawiła na ziemi puste wiadra. – Leć mi który po wodę!

Psiogłowiec, nadal żując kaszę, trącił Brune'a w ramię.

– Hej, przybłędo! Zasuwaj do studni, choć tyle pożytku będzie z ciebie.

– Nie trafi. – Skrzywił się Krzywulec, nie wyjmując fajki z ust. – Przecie to świr.

– Nie nazywaj go tak! – obruszył się Znajda, siadając.

Brune tymczasem drgnął, przetarł rękawem twarz i popatrzył na nich przytomniej, jak obudzony ze snu.

– Mam iść po wodę?

Wyjaśnili mu, jak trafić do studni. Zabrał wiadra i wyszedł. Nie było go dość długo.

– Hej, Znajda, weź zobacz, co on tam robi – rzucił w pewnym momencie Krzywulec, wystukując popiół z fajki. – Utopił się czy co?

– Nie, właśnie wraca. – Pyszczek zachichotała. – Patrzcie go, jaki panicz!

Brune postawił pełne wiadra pod ścianą i podszedł, żeby usiąść przy ogniu. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Włosy i koszulę miał mokre, wyglądał czyściej, ale drżał z zimna.

Narzucił na ramiona koc i wyciągnął ręce w stronę płomieni. Znajda patrzył na niego z podziwem i przestrachem.

– Pogięło cię? Rozchorujesz się!

– Nie oczekujcie rozsądku od wariata – skwitował Krzywulec.

* * *

Egzystencja w ludzkim ciele, pod wieloma względami kłopotliwa i męcząca, miała też swoje plusy.

W kominku przyjaźnie trzaskał ogień. Kouremos rozsiadł się wygodniej w fotelu, opierając nogi na stołeczku. Upił z kielicha łyk wina i wsunął do ust miodowe ciastko.

On i Nebbu nawet nie pomyśleli o wynajęciu pokoju w jakiejś oberży. Wyszukali sobie dostatnią kamienicę, której właściciel, kupiec nazwiskiem Mertens, wyjechał w długą podróż w interesach. Zostawił w domu żonę i służbę, ale wystarczyło delikatnie ogłupić ich umysły, by zyskać doskonałą kwaterę.

Rozległo się pukanie i do sypialni zajrzała żona kupca, pulchna, schludnie ubrana kobieta.

– Czy jaśnie pan jeszcze czegoś sobie życzy?

Zaprzeczył i odprawił ją ruchem ręki. Kupcowa, skłoniwszy się, odeszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Kouremos w zamyśleniu

dopił wino.

Mogliby z Nebbu zniewolić uprzejmą panią Mertens na przeróżne sposoby, znane i nieznane ludziom. Mogliby doprowadzić dom kupca do ruiny. Ale nie było takiej konieczności. Potrzebowali tylko bezpiecznego i wygodnego schronienia na jakiś czas.

Zegar nad kominkiem melodyjnie wybił północ.

Kiedy przebrzmiał ostatni kurant, Kouremos wyjął z kieszeni lusterko w złotej, bogato zdobionej oprawie i chuchnął w nie. Wewnątrz lusterka pojawiło się oblicze władczyni.

– Jakie wieści? – zapytała.

Kouremos odchrząknął.

– Dokonaliśmy wstępnego rozpoznania. Mamy listę przebywających w mieście srebrnych magów oraz *ka-ira*. Od jutra zaczynamy sprawdzać ich siedziby, rozpytamy się też dyskretnie w środowisku.

– Bardzo dobrze. – Sul-Berith cmoknęła z aprobatą, po czym zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem. – Kouremosie, nadeszły kolejne wieści od naszego szpiega w Dolinie Złota. Wygląda na to, że Charooz zwerbował nad Zatoką Snów nowego agenta. Lub też agentkę, nasze źródło nie zdołało odkryć płci.

– Interesujące. To potwierdzona informacja? Mamy pewność, że źródło się nie myli?

– Na tym etapie pewności mieć nie sposób, ale wszystko wskazuje na to, że to prawda. Kouremosie, posłuchaj mnie. Nie traćcie czasu na tropienie tego agenta, nie warto angażować w to sił, dopóki nie dowiemy się szczegółów. Gdyby jednak wasze ścieżki przypadkiem się przecięły, wyeliminujcie go… lub ją… z gry.

– Rozkaz. Uczynimy, co w naszej mocy. – Kouremos uśmiechnął się brzydko.

* * *

Targowisko Loss Fomar, mieszczące się w długiej amfiladzie krypt na najwyższym poziomie Podziemi, było miejscem jedynym

w swoim rodzaju. Stanowiło obszar półmroku, gdzie spotykali się przedstawiciele legalnych i mniej legalnych profesji, by wymieniać towary, usługi i wieści.

Było tam gwarno i nieco strasznie, jak w miejscu ze snu. Zawieszone na łańcuchach oliwne lampy dymiły, melanż nie zawsze przyjemnych woni przyprawiał o zawrót głowy. Wytwórcy symbiotycznych masek, nazywani przez pospólstwo złodziejami twarzy, rozkładali na płachtach swój budzący dreszcze towar, obok straganów z żywnością i przedmiotami codziennego użytku. Handlarze głośno zachwalali swoje dobra, żebracy jęczeli, uliczni artyści demonstrowali swój kunszt. W tłumie nie brakowało zakapturzonych, złowrogo wyglądających postaci oraz odmieńców o zniekształconych obliczach. Brune zwolnił kroku, rozglądając się z zainteresowaniem. Znajda na wszelki wypadek mocno chwycił go za rękę, myśląc jednocześnie z odrobiną smutku, że w podobny sposób pilnowałby dziecka.

– Ty, nowy, przypatrz się dobrze – odezwał się Psiogłowiec. – Tu można kupić i sprzedać prawie wszystko. Żarcie, broń, prochy, co tylko dusza zapragnie. Nas, rzecz jasna, na nic nie stać, a wuj Siny nie pozwala kraść. – Mrugnął porozumiewawczo. – Ale Sinego tu z nami nie ma, braciszkowie. Dlatego Psiogłowiec zaraz pokaże wam sztuczkę.

– Nie wygłupiaj się. A jak nas złapią? – przestraszył się Znajda. Wskazał głową dwóch żołnierzy w srebrzystych hełmach i półpancerzach, którzy rozmawiali z kramarzem. – Sam zobacz, ludzie Elity. Oni są jeszcze gorsi niż straż miejska!

Elita. Słysząc tę nazwę, Brune wzdrygnął się, choć sam nie wiedział czemu.

– Daj spokój, tchórzysz jak baba. Idźcie powoli przed siebie i nie oglądajcie się. Ja zaraz do was dołączę. – Psiogłowiec zniknął w tłumie, nie czekając na odpowiedź.

– Żeby go zaraza – syknął Znajda. – Co za dureń! Przecież Siny tyle razy powtarzał… Nie, pani, nie, dziękujemy bardzo – spłoszył się, kiedy podeszła do nich skąpo odziana dziewczyna, zalotnie kołysząc biodrami. Zapraszającym gestem wskazała budę, której

zasłonięte kotarą wejście oświetlały czerwone lampiony. Syknęła obelżywie, kiedy nie wykazali zainteresowania.

Nagle ponad gwarem rozległy się cztery donośne uderzenia dzwonu. Brune drgnął, przestraszony.

– Spokojnie – powiedział Znajda. – Wybiła czwarta, to wszystko. O tam, w górze, popatrz.

Pośrodku targowiska znajdowała się kolumna z czarnego marmuru, u której szczytu umieszczono zegar o złoconej tarczy, podświetlony przez dwie wypełnione świeciwem lampy, również pozłacane. Cokół kolumny pokrywały płaskorzeźby i inskrypcje. Brune przystanął, by się im przyjrzeć.

– Przecież i tak nie przeczytasz, co tam napisano – westchnął chłopak. – Chodź.

W tej samej chwili łomot kroków sprawił, że ciżba się rozstąpiła. Brune i Znajda cofnęli się pod kolumnę. Z bocznego korytarza wyłoniła się grupa topornych białych sylwetek. Naokoło zrobiło się wyraźnie ciszej, ludzie oglądali się lękliwie.

– Jednoocy – szepnął Znajda. – Niech to szlag…

Golemy były coraz bliżej. Każdy z nich nosił na napierśniku ten sam symbol, srebrny pentagram. Na widok nieforemnych obliczy z jednym okiem pośrodku czoła Brune schylił głowę, żeby włosy zasłoniły mu twarz. Zwalczył impuls, żeby uciekać na oślep, ukryć się.

Jeden z Jednookich wydał osobliwy mechaniczny świergot. Żołnierze przerwali rozmowę i dołączyli do oddziału, który wycofał się równie szybko, jak się zjawił. Gwar i ruch targowiska stopniowo wróciły do normalnego natężenia. Brune odetchnął, rozluźnił zaciśnięte pięści.

– Hej, chłopcy, skąd te ponure miny? – Psiogłowiec wyrósł przed nimi, szczerząc kły w uśmiechu. – Wszystko jest cacy, kochani. Może obwarzanka? – Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął spod kapoty cały pęk wypieków nanizanych na sznurek.

– Kretyn z ciebie, futrzasty – syknął Znajda. – Popisujesz się bez sensu.

– Oj, nie marudź już. Słowo daję, jesteś gorszy niż Kurzajka.

Chciał dodać coś jeszcze, ale w tym momencie drogę zastąpił im obdarty chłopiec, potrząsając pękami zasuszonych roślin.

– Nie, mały, nie chcemy twojego zielska – rzucił Psiogłowiec. – Lucyferia – wyjaśnił, odwracając się do Brune'a. – Jedni to żują, inni piją napar. Daje niezłego kopa, ale jak się uzależnisz, możesz skończyć jak ten frajer, o tam.

Wskazał wychudzonego człowieka z wrzodami wokół ust, który siedział pod murem, potrząsając glinianą skorupą na pieniądze.

Kawałek dalej, między straganami, grał na flecie uliczny muzyk w połatanej kapocie. Prosta, melancholijna melodia momentami ginęła w ogólnym zgiełku.

Brune zatrzymał się. Jego twarz wykrzywił grymas, ręce zaczęły się trząść. Zajęczał niezrozumiale, na tyle głośno, że kilka osób się obejrzało.

– Co mu jest? – przestraszył się Znajda.

– Jeszcze pytasz? – Psiogłowiec wymownie postukał się w czoło. – Skaranie boskie z takim! Lepiej zabierajmy się stąd, zanim ktoś się do nas przyczepi.

Nazajutrz, gdy członkowie familii się zbudzili, okazało się, że przybysz zniknął.

– Zwiał, tym razem na dobre – skonstatował Psiogłowiec.

– Nie żartuj! – Znajda wyglądał, jakby strzelił w niego piorun.

– Zostawił koc – zauważyła Pyszczek. – Może jeszcze wróci.

– Jak wróci z pustymi rękami, nie dostanie żreć – warknęła Kurzajka. – Nie będziem karmić darmozjada.

Brune pojawił się w porze, gdy zbieracze wracali z łupem. Jak gdyby nigdy nic wsunął się do krypty śladem pozostałych. Na ramieniu niósł worek.

– Gdzieś ty chodził? – wykrzyknął na jego widok Znajda.

Brune w milczeniu podał worek Sinemu, który wytrząsnął jego zawartość. Na posadzkę posypały się rozmontowane fragmenty zardzewiałej ozdobnej kraty. Stary odmieniec gwizdnął.

– Byliśmy na niższych poziomach, co? Mam dla ciebie jedną radę, chłopcze. Nie kradnij urn, bo wtedy umarli zrobią z tobą porządek. Pojmujesz?

– Posłuchaj – powiedział błagalnie Znajda, kiedy siedli przy ogniu, czekając, aż Kurzajka zawoła, że strawa czeka. – Nie możesz sam chodzić po niższych poziomach, przecież to szaleństwo. Grasują tam upiory, drapieżne homunkulusy… i w ogóle…

Brune tylko patrzył w płomienie, szepcząc do siebie. Psiogłowiec prychnął.

– Zostaw wariata w spokoju. Jak jesteś taki troskliwy, możesz jutro iść z nim.

– Zwariowałeś? Boję się.

– Pochrupek łazi po niższych poziomach i żyje.

– Ale Pochrupek umie gadać z homunkulusami…

Pyszczek, która wygrzewała się obok zwinięta w kłębek, podniosła głowę.

– Może Brune też umie, kto to może wiedzieć? Nie zamartwiaj się tak o niego, Znajda. Najwyraźniej jest sprytniejszy, niż nam się zdaje.

* * *

Fosforyzujące ślepia otwarły się w mroku. Nieokreślony niepokój wyrwał odmiankę ze snu.

Pozostali członkowie familii chrapali w najlepsze, lecz jedno z legowisk było puste. Pyszczek nasłuchiwała chwilę, potem bezszelestnie zaczęła się skradać, wymijając śpiących.

W krypcie ze znaleziskami panowały niezgłębione ciemności. Ale jej czujne uszy wychwyciły szmer oddechu, jeden czy drugi cichy szelest. Wyjęła zza pazuchy słoiczek ze świeciwem.

Brune siedział w głębi krypty, między stertami rupieci. Oczyścił buty z zaschniętego błota i właśnie smarował je oliwą, kradzioną, jak należało przypuszczać.

Drgnął, kiedy podeszła, ale nie próbował kryć się z tym, co robi. Wzruszył tylko przepraszająco ramionami, jakby chciał powiedzieć: „nie chcę chodzić boso”.

Pyszczek uśmiechnęła się.

– Nie taki z ciebie świr, co? Nie bój się. Nic nie powiem Sinemu. – Zniżyła głos. – Nie powiem mu też, że widzisz po ciemku lepiej ode mnie.

Patrzył na nią bez słowa. Naznaczona szramami twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Nagle Pyszczek poczuła ciarki. Źrenice obłąkanego lśniły żółto, tak jak jej własne.

– Bez obawy – powtórzyła. – Nie wydam cię.

* * *

Nazajutrz w porze pobudki już nikt się nie zdziwił, kiedy się okazało, że legowisko nowego członka familii jest puste.

Pięć poziomów niżej przestraszone szczury umykały na odgłos kroków. Brune ostrożnie schodził po popękanych, śliskich od wilgoci schodach, zmierzając w stronę obwarowanych kratami krypt, z których wionęło zimnem i nieuchwytną wonią grobu.

Nad Zatoką Snów od dawna wiedziano, że dusze umarłych nie zawsze ulatują w zaświaty – że można na różne sposoby sprawić, aby trzymały się blisko krainy żywych, niematerialne, ale jednak zachowujące cień dawnej tożsamości i woli. Po wsiach z dawien dawna istniał obyczaj, aby po spaleniu zwłok kogoś bliskiego zebrać prochy i pochować je pod polepą domu, w nadziei, że w ten sposób zmarły zapewni rodzinie ochronę i dobrobyt. Idąc za radą swojego nadwornego czarodzieja, jeden z dawnych dożów Shan Vaola postanowił wypróbować coś podobnego, tyle że w większej skali. Rozkazał, aby urny z prochami zmarłych odtąd składano nie na cmentarzach, ale w Podziemiach, w kryptach opatrzonych specjalnymi inskrypcjami, zakładając, że dzięki temu duchy przodków będą chronić miasto.

Czyniono tak przez cały okres panowania tego doży, jego syna oraz wnuka – dostatecznie długo, aby niższe poziomy Podziemi zaludniły się umarłymi. Snuli się, niedostrzegalni dla zwykłego oka, lecz wyczuwalni jako niemiła, zimna obecność. Szeptali o różnych ponurych rzeczach. O chorobach, starości. O śmierci, która nie przyniosła wybawienia. O szarej krainie bez wody i bez radości, gdzie przyszło im egzystować, tęskniąc do świata żywych,

który mieli w zasięgu wzroku, chociaż wiedzieli, że tęsknią na darmo.

Brune nie obawiał się duchów. Bez lęku mijał krypty, gdzie stały rzeźbione kamienne grobowce. Nie zdawał sobie sprawy, że budzi zainteresowanie umarłych, którzy wyłaniali się z ciemności i szybowali jego śladem, szepcząc między sobą.

W końcu dotarł do celu. Jedna z krypt, które odkrył poprzedniego dnia, była zdewastowana. Kraty leżały na ziemi, powykręcane i połamane, z grobowców zaś zostało jedynie rumowisko.

Roztrzaskane kraty wykonano z dobrej, choć zardzewiałej stali i Brune nie zamierzał przepuścić takiej okazji, nawet jeśli oznaczało to konieczność mozolnego rozmontowywania ich na mniejsze elementy bez pomocy narzędzi. Ukląkł i zabrał się do pracy. Umarli obserwowali go bacznie.

Naraz zaklął, bo skaleczył się w rękę zaskakująco ostrym szpicem jakiejś kutej ozdoby. Pod wpływem bólu kłębiąca się w jego głowie mgła na chwilę opadła. Z pamięci wypłynęły obrazy, niewyraźne, jak ze snu.

Zamek wśród gór porośniętych świerkowym lasem…

Zarzucona pergaminami pracownia na poddaszu…

Popielista równina od horyzontu po horyzont.

Aż się zatoczył, oszołomiony i przerażony. Oparł się o mur, pomału odzyskując spokój. Popatrzył na swoje brudne ręce, jakby na nowo uświadamiając sobie, że przecież jest człowiekiem, nie odmieńcem, więc czemu mieszka wśród śmieciarzy?

Ostrożnie dotknął na wpół zasklepionych cięć na policzku. Nie rozumiał, czemu w głowie ma jedynie strzępy wspomnień, czemu nie potrafi się dłużej skupić na jednej myśli. Mgliście zdawał sobie tylko sprawę, że dawniej prowadził normalne życie na powierzchni ziemi. Że kiedyś nie musiał unikać słońca.

Otrząsnął się, wracając do rzeczywistości. Skaleczona dłoń bolała. W jego umyśle pojawił się ciąg skojarzeń, uruchomiony przez wspomnienie jątrzących się ran na twarzy. I Brune wstał, nagle zupełnie przytomny.

Jak pamiętał z poprzedniej wizyty na dole, kilka rozwidleń dalej znajdowało się źródełko – szczelina w skale, z której ciurkała woda. Poszedł tam i przemył skaleczenie, a przy okazji napił się i ochlapał twarz.

Raptem poderwał głowę, zaalarmowany odgłosem, który brzmiał jak cichy tupot. Czy mu się zdawało, czy też dostrzegł znikający w mroku nieduży, wielonożny kształt?

Lochy trwały w ciszy. Nie zdradzały chętnie swoich tajemnic.

* * *

Mało kto z mieszkańców Shan Vaola o tym wiedział, lecz na najniższym poziomie Podziemi, w samym sercu labiryntu, kryło się jądro z marmuru, szkła i błyszczącej stali. Należące do Elity koszary, magazyny oraz laboratorium, gdzie powoływano do życia Jednookich. Golemy należało konstruować i kwaterować pod ziemią, światło słońca było bowiem dla nich zabójcze. Na ulice miasta wysyłano je tylko nocą.

Kouremos wiedział, że nie ma żadnych szans, by przedostać się niepostrzeżenie na teren kompleksu, obwarowanego przez potężne czary ochronne, pilnowanego przez żołnierzy i spętane zaklęciami żywiołaki. Jednak nie było takiej potrzeby. Chciał zdobyć tylko jedną informację, a żeby ją uzyskać, wystarczyło podejść tak blisko koszar, jak na to pozwalał układ korytarzy.

Aby odnaleźć drogę, nie potrzebował mapy, kierował się instynktem. W końcu zatrzymał się w ślepym zaułku. Wyraźnie czuł srebrną aurę emanującą poprzez mury – pod jej wpływem krew krążyła szybciej w żyłach jego materialnej powłoki, po plecach pełzły ciarki.

Wyjął z zanadrza woreczek i szepcząc w narzeczu Otchłani magiczne słowa, sypnął w powietrze zaklętym popiołem. Ten jednak opadł po prostu na spąg – wróżba dała negatywną odpowiedź. A zatem uwięzionych ifrytów należało szukać gdzie indziej.

Za ścianą, w jednym z pomieszczeń laboratoryjnych, dwa golemy służebne – toporne gliniane stwory o obliczach bez rysów

– mozolnie rozmontowywały uszkodzony korpus Jednookiego. Iglendis ar Vanth, w szarej roboczej tunice narzuconej na białą szatę, wydawała im instrukcje.

Nagle uniosła głowę. Golemy, wyczuwając jej niepokój, zamarły.

Iglendis skupiła się i sięgnęła wewnętrznym wzrokiem poza mury laboratorium, lecz nie wyczuła niczego podejrzanego. Mrok, stęchlizna lochów i odległe szepty umarłych, czyli to, co zawsze.

– Kontynuujcie pracę – rzuciła sucho do swoich sług.

* * *

Dwa stworki przycupnęły we wnęce, węsząc. Samotny, nieuzbrojony człowiek momentalnie przykuł ich uwagę.

Należały do najbardziej niebezpiecznej z kilku odmian homunkulusa, jakie można było spotkać w Podziemiach. Nieduże, o białej skórze, kruchych kończynach i wielkich oczach. Wyglądały niegroźnie, lecz ich kły zawierały jad.

Zawsze stosowały tę samą taktykę. Zaczaić się w jakimś ciemnym kącie, skoczyć znienacka, ukąsić. Potem ściągnąć resztę grupy. Do tego czasu trucizna unieruchomi ofiarę.

Były głodne, lecz nadchodzący człowiek miał w sobie coś dziwnego, niepokojącego. Homunkulusy wyczuły to instynktownie. I pozwoliły mu bezpiecznie przejść.

Nieświadom ich obecności Brune rozglądał się, pobrzękując zawartością worka. Odłamki szkła, trochę kości niewiadomego pochodzenia oraz spory fragment zbroi golema – oto, na co można było natrafić w nieoświetlonych korytarzach.

Wyszedł na placyk, gdzie stało kilka lamp. Z jednej, pękniętej, wylała się część płynu, tworząc na murze wielki fosforyzujący zaciek. Nieopodal walało się trochę łachmanów i kilka pustych butelek. Brune schylił się, żeby je pozbierać.

– Hej, ty! – usłyszał nagle ochrypły okrzyk. – Gdzie leziesz, to nasz teren!

Podszedł do niego gruby mężczyzna w postrzępionej kapocie, śmierdzący alkoholem i rynsztokiem.

– Pokaż no, co tam masz! – Wyrwał mu worek z ręki. Gdy ujrzał zawartość, splunął. – A idź ty, co za gówno… Z czego wy żyjecie, śmierdziele, żrecie błoto?

Otaksował młodszego mężczyznę spojrzeniem i nagle się uśmiechnął. Jego zęby wyglądały tak samo paskudnie jak cała reszta postaci.

– Wyskakuj z trepów!

Brune stał, nie rozumiejąc. Gruby wymierzył mu kuksańca.

– Co, łachu, po ludzku nie kapujesz? Oddawaj buty!

Nagle światło lamp zamigotało i przygasło na sekundę. W tym samym momencie z bocznego przejścia wyłonił się, zapinając spodnie, drugi typ.

– Hej, Povl, do kogo ty gadasz? – zdziwił się.

– Co, do stu… – Gruby zamrugał, przetarł oczy. Rozejrzał się w osłupieniu. – Gdzie on się podział?!

Kumpel klepnął go w ramię.

– Stary, może nie pij dziś już więcej.

Kilka poziomów wyżej Brune otworzył oczy. Stał na Loss Fomar, pod murem, w cieniu jakiegoś kramu. Sam nie wiedział, co właściwie zrobił – był oszołomiony, trochę kręciło mu się w głowie.

Rozejrzał się czujnie, ale w ścisku i gwarze targowiska jego nagłe pojawienie się nie przykuło niczyjej uwagi. Doskonale. Skoro już tu jest, równie dobrze może się trochę pokręcić.

Przechodząc obok jednego z wielu straganów ze starociami, zauważył swoje odbicie w zaśniedziałym, pękniętym zwierciadle. Przeczesał dłonią włosy, krzywiąc się. Na powierzchni wzbudziłby natychmiast czujność każdego kramarza, ale tu nie rzucał się aż tak bardzo w oczy.

Uśmiechnął się do czarnowłosej dziewczynki, która pokazywała sztuczki z parą tresowanych białych szczurów. Odpowiedziała uśmiechem.

Nieopodal znajdowały się stoiska z żywnością. Jak zwykle śmierdziało tam paskudną zupą z flaków i przypalonym olejem, lecz unosiły się też przyjemniejsze wonie – smażonych ryb, fasoli w sosie z przyprawami, bigosu z mięsem. Brune zwolnił kroku.

O ciepłym posiłku mógł raczej tylko pomarzyć, ale w skrzynkach piętrzyły się suszone owoce i wędzone serki, a w koszach stało sczerstwiałe pieczywo, oferowane po niższej cenie. I jak zwykle kupujących nie brakowało, więc uwaga sprzedawców nie skupiała się cały czas na towarze…

Może później. Teraz uwagę Brune'a przykuł stragan z bronią. Było to jedno z okazalszych i lepiej zaopatrzonych stoisk na targowisku. Trzy zawieszone na łańcuchach latarnie oświetlały towar, płomienie migotały w wypolerowanej stali. Dwóch barczystych mężczyzn w krótkich kolorowych kaftanach oglądało rapiery, spierając się półgłosem. Wąsaty sprzedawca zachwalał jasnowłosej, czarno odzianej dziewczynie zalety noży do rzucania.

Nagle wszyscy podnieśli głowy, zdziwieni, bo zrobiło się wyraźnie ciemniej.

– Hej, panie Friss! Latarnia wam zgasła! – zawołał ktoś.

Sprzedawca podniósł długi drąg z hakiem na końcu i odczepił latarnię od łańcucha.

– To dziwne, jest pełna oliwy – stwierdził, kręcąc głową.

Brune już osiągnął, co chciał. Odchodząc, dotknął rękojeści sztyletu ukrytego w rękawie.

Czuł się lepiej, mając przy sobie broń.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

O cyklu „Teatr węży”

Wkraczacie w świat Zmroczy – przesycony magią, posępny i fascynujący.

> *„Polska fantasy doczekała się kilku znakomitych uniwersów, a świat stworzony przez Agnieszkę Hałas właśnie się do nich zalicza. Żyje, oddycha i krwawi, a my wraz z nim”.*
>
> Robert M. Wegner, pięciokrotny laureat Nagrody im. Janusza A. Zajdla

Srebrni magowie bezlitośnie ścigają wyznawców czarnej magii, uznanej za skażoną. Demony z Otchłani przybierają ludzką postać i przenikają do świata śmiertelników…

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się na wpół obłąkany człowiek z twarzą pociętą bliznami, który pamięta jedynie urywki ze swej przeszłości. W tunelach podziemnego świata żywiołaków i chowańców, ifrytów i homunkulusów, żebraków i przestępców, stopniowo odkrywa swoje magiczne talenty.

Dwie karty – powieść mroczna, intrygująca, pełna plastycznych szczegółów obyczajowych, z pełnokrwistymi postaciami tworzącymi żywą, przemawiającą do wyobraźni społeczność – otwierają cykl dark fantasy „Teatr węży”.

„Ten świat (…) tętni bogactwem niczym Baśnie z tysiąca i jednej nocy, zadziwia patentami rodem ze steampunku, igra z demonologią z różnych stron świata i z różnych czasów”.

„Brune Keare zapadł mi w pamięć tak jak Kane z cyklu Wagnera, Ged z Ziemiomorza, Karenira z Gromberlandu czy ten cholerny Geralt Riv. Był charakterystyczny, tajemniczy, mroczny i bezwzględny, ale też na swój sposób honorowy i uczciwy”.

Robert M. Wegner, pięciokrotny laureat Nagrody im. Janusza A. Zajdla, dwukrotny laureat Sfinksa, dwukrotny laureat Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, laureat nagrody dla książki roku (fantasy) w Rosji

„A że powieść ta jest początkiem większej całości – tym lepiej dla czytelników, którzy jak ja lubią opowieści zarazem posępne i fascynujące, napisane z wielką wyobraźnią i subtelnym wyczuciem emocji”.

Anna Kańtoch, pięciokrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla, laureatka Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego

„Powieść Agnieszki Hałas przenosi nas do niezwykłego, bogatego i starannie skonstruowanego świata. Pozwala zanurzyć się w przesyconej magią rzeczywistości. Uwagę czytelnika zwraca lekkość pióra, potoczystość narracji oraz perfekcja warsztatowa młodej autorki”.

Andrzej Pilipiuk, autor bestsellerowego cyklu o Jakubie Wędrowyczu, dziewięciokrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdla

„Gdyby ktoś zapytał mnie o dobre polskie cykle fantasy, zaraz po «Wiedźminie» Sapkowskiego na myśl przychodzi mi «Teatr węży» Agnieszki Hałas. Autorce udało się stworzyć niezwykle pełnowymiarowy i oryginalny świat, a styl i rozmach jej opowieści może konkurować z najlepszymi dokonaniami gatunku”.

Robert J. Szmidt, autor bestsellerowego cyklu „Pola dawno zapomnianych bitew”, powieści Szczury Wrocławia i książek z uniwersum „Metro 2033”

„Keare przypomina innego antybohatera fantasy, archetyp mrocznego herosa, Kane'a Nieśmiertelnego. (…) Jednocześnie przypomina Harry'ego Angela – nosi w sobie sekret, którego próby rozwiązania zaczynają doprowadzać go do szaleństwa i spychać z umownego moralnego urwiska".

Bartek Biedrzycki, autor trylogii postapo Kompleks 7215, Stacja: Nowy Świat i Dworzec Śródmieście

Agnieszka Hałas (ur. 1980) – doktor nauk biologicznych, obecnie tłumaczka i autorka fantasy. Kocha góry i koty. Od 1996 r. należy do Lubelskiego Klubu Fantastyki „Syriusz", jest redaktorką portalu Esensja. Oprócz cyklu „Teatr węży" opublikowała m.in. zbiory opowiadań *Między otchłanią a morzem* i *Po stronie mroku* oraz baśniową opowieść *Olga i osty*.

*K*rólestwo i jego cienie Text copyright © by Agnieszka Hałas 2017

Fragment powieści *Dwie karty* Text copyright © by Agnieszka Hałas 2011, 2017

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne serii oraz okładki i ilustracja na okładce: Paweł Stepanow

Wydanie I e-book
Poznań 2017

ISBN 978-83-8062-794-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
fax: 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**